MARZEC 1932

NASZA

PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA
TRYBUNA
ZACHOWAWCZEJ
MYŚLI
PAŃSTWOWEJ

TOM XIX

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 61 m. 8, TEL. 9-10-86

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa Szpitalna 1, tel. 649-04.

TREŚĆ:

DO RZECZY!

(Dodatek redakcyjny z ostatniej chwili).

„Nasza Przyszłość“, jako miesięcznik — i to miesięcznik, idący naprzód i patrzący w przyszłość ponad drobnostkowemi perypetjami dnia — nie może zapuszczać się w efemeryczne, doraźne polemiki dziennikarskie. Ale niema, niestety, reguły bez wyjątku. Aczkolwiek z wielką przykrością, musimy tym razem odstąpić od naszej zasady i odpowiedzieć pewnym organom codziennej prasy demagogicznej, które poprostu nadużywają naszych artykułów do swej jałowej walki z rządem polskim, przekręcając bez skrupułu sens i oczywistą dla każdego tendencję naszych twierdzeń i zwrotów.

Twierdzimy stanowczo, że przekręcają rozmyślnie, bez żadnego skrupułu, gdyż nie posądzamy naszych rodaków o brak wybitnych zdolności i bystrości umysłu. Wiedzą oni dobrze, co czynią!

Naprzykład z artykułu w lutowym tomie naszego pisma p. t. „Jak napisać polską Konstytucję?“ — ukuły sobie różne dzienniki demokratyczne sztuczną broń przeciw rządowi i Blokowi Współpracy z Rządem, zestawiając — utartym zwyczajem demagogji — różne wyrwane z tego artykułu zdania w ten sposób i nadając im w złośliwych komentarzach taki sens, że wynika z tego, jakoby „Nasza Przyszłość“ oblekała się w togę Katona i występowała w obronie „praworządności“ endeckiej, chadeckiej, czy nawet socjalistycznej, przeciwko „niepraworządnym“ zamierzeniom „konserwatystów sanacyjnych“.

Niech szanowny czytelnik przypadkiem nie wpadnie na przypuszczenie, że ktokolwiek zmusza nas niniejszem do prostowania czy wyjaśniania. Bo „Nasza Przyszłość“, to takie nieznośne i niesforne pismo, że wolałoby raczej

zamknąć się i zlikwidować, niż cośkolwiek prostować pod czyimkolwiek naciskiem. W tem właśnie leży specjalna jego wartość.

Jeżeli więc niniejszem „wyjaśniamy", to zaręczamy czytelnikom, że czynimy to wyłącznie z własnej inicjatywy, z wolnej a nieprzymuszonej woli, ale zarazem i z braku świętej cierpliwości wobec wciągania nas w dziennikarskie „rozgrywki" polityczne, a raczej politykierskie.

Oświadczamy więc z całą otwartością, że nie przeciw jakimkolwiek zamierzeniom ustrojowym rządu czy Bloku Bezpartyjnego zamieściliśmy wspomniany artykuł, z którego zresztą ani słowa nie cofamy, ale przeciw fachowcom prawnikom — wśród nich także i niektórym konserwatywnym — którzy z podstawowych, naukowych pojęć prawniczych zrobili w ciągu ostatnich lat kilkunastu, niemal od pierwszej chwili wskrzeszenia Polski, jakąś dziwną mgłę i metafizykę. Nie z ust rządu, ani Bloku pochodzi słynny frazes o płynności prawa. Nie jest on wytworem majowego zamachu stanu, bo każdy zamach stanu łamie chwilowo pewne przepisy, ale nie ogłasza płynności prawa wogóle. Przeciwnie, zawsze i wszędzie stara się na miejsce dawnych, przeżytych, wytartych form i norm ustrojowych nowe wprowadzić i to wprowadzić tak, aby te nowe prawa płynnemi nie były. Leży to przecież w najżywotniejszym interesie każdego zamachu stanu!

Natomiast faktem jest, stwierdzonym przez nas wielokrotnie na podstawie lektury współczesnych poważnych dzieł, broszur i artykułów fachowo-prawniczych, jako też na podstawie rozmów prywatnych z różnymi naszymi „wybitnymi" prawnikami, że podstawy filozoficzne, twierdzenia i tendencje wiedzy prawniczej i pojęć prawniczych stały się wskutek hipertrofji spekulatywnej mgliste, fantastyczne, płynne i dla zdrowego rozsądku nieraz całkiem niezrozumiałe. Ale nie „sanacja" temu winna, nie protagoniści programu naprawy Rzeczy-

pospolitej, nie Blok Bezpartyjny, jako taki, ale jedynie i wyłącznie fachowi, uczeni, słowem „wybitni" prawnicy!

Oni to twierdzą, że „trudno ustalić jakieś trwałe normy prawa pozytywnego", że trudno sformułować w Polsce np. prawo własności prywatnej, bo żaden przepis Konstytucji, czy innej ustawy, nie zabezpieczy obywatela przed naruszeniem tego prawa; z czego wynika w praktycznej konsekwencji, że kodeks karny i policja są niepotrzebne, bo i tak złodziej może ukraść komuś parasol czy kalosze!!

Oto sedno sprawy, o które nam chodzi! Co innego walki stronnictw i taka czy inna polityka rządów, a co innego podstawowe pojęcia o roli i charakterze prawa. Te właśnie pojęcia zostały w umysłach i pod piórem nawet bardzo umiarkowanych prawników wypaczone i pogmatwane tak dalece, że chociaż wielu z nich stoi po stronie obecnych rządów, to jednak w istocie złą im przysługę oddaje, przedstawiając im, zamiast twardych i jasnych pojęć prawnych, jakąś metafizyczną mgłę, konjunkturalną spekulację i poprostu: gumelastykę.

Poruszyliśmy tę kwestję, o pierwszorzędnem niewątpliwie znaczeniu prawniczem i pedagogicznem dla całego państwa, już rok temu, w artykule p. t. „Kryzys prawa" i w tem tylko także, wyraźnem znaczeniu, w artykule lutowym. I nie przestaniemy o to walczyć, ale nie z rządem, nie z sejmem, ani wogóle z żadną polityką oficjalną, ale z naszym wielkim światem prawniczym, w którym „coś się popsuło" pod wpływem zachodniego czy wschodniego „postępu", pod narkozą różnych dziwacznych konceptów zagranicznych uczonych, polityków i „Wichtigmacherów", którzy — według znanej bajki — szukając nowych gwiazd, nie patrzą pod nogi i wpadają w studnię.

Ale skoro „Nasza Przyszłość" pisze zawsze chyba dość jasno i lapidarnie, to tembardziej zastrzec się musi przeciwko nadużywaniu jej, jako taranu w dążeniu do władzy, ze strony polityków w różnych Kurjerkach, Głosach narodu, Naprzodach i t. p. Chcecie walczyć z rzą-

dem o mandaty i inne zaszczyty, to sobie walczcie! To rzecz między wami a rządem. Ale hands off od „Naszej Przyszłości“, która o mandaty i zaszczyty nie walczy, aktualjami dziennikarskiemi wcale się nie zajmuje, a za przekręcanie swego tekstu ad usum demagogji może dać niejednemu ewentualnie arcyniemiłą odprawę!

Lepiej i zdrowiej będzie każdemu zostawić nas w spokoju!

Redakcja.

GŁOS Z POMORZA.

LIST DO „STAŃCZYKA“ I JEGO ODPOWIEDŹ.

Życzliwe przyjęcie, jakiego doznał list p. Ja. Tu. w jednym z ostatnich numerów „Naszej Przyszłości“, zachęca mię do wtrącenia swoich trzech groszy do rozpoczętej dyskusji, ponieważ chciałbym, aby ewangelja, głoszona z głębokiem przekonaniem przez „Stańczyka“, stała się podstawą wiary politycznej nietylko oświeconego ziemiaństwa, ale, by w tym chaosie pojęć rozświetliła także najciemniejsze zakamarki mózgów myślącego ogółu.

Odpowiedź Pańska na postawione przez abonenta z Wielkopolski konkretne pytanie składa się z dwuch części; w pierwszej wskazuje Pan na konieczność obniżenia stopy życiowej i prymitywizacji warsztatów, w drugiej, stwierdzając bierność, dwulicowość i apatję większości ziemian, żąda Pan od nich zdecydowanego, męskiego stanowiska w sprawach politycznych w kierunku, reprezentowanym — powiedzmy — przez „Naszą Przyszłość“.

O ile druga część odpowiedzi nie nastręcza mi żadnych wątpliwości i zasadniczo zasługuje na miano ewangelji, o tyle z pierwszej części możnaby wyciągnąć wniosek, że jej autor opiera swoje tezy na obserwacji pewnej tylko, może górnej, zresztą nielicznej warstwy ziemiaństwa, gdzie siłą wiekowego rozmachu utrzymały się jeszcze pozory zamożności, wyrażające się w utrzymywaniu lokai i samochodów.

Mam wrażenie, że kilku, czy kilkunastu ziemian, którzy jeszcze mogą obniżyć swoją stopę życiową lub bardziej jeszcze sprymityzować swoje gospodarstwa, stanowią wyjątki, z każdym dniem mniej liczne.

Natomiast, czytając Pańskie na temat życia nad stan uwagi, trudno się oprzeć wrażeniu, że nie miał Pan możności zetknięcia się z przeciętnym typem obywatela ziemskie-

go ostatniej doby, a wskutek tego stracił, jako publicysta, bardzo dużo cennego materjału obserwacyjnego.

Oczywiście, nie mam pretensji, aby moje obserwacje miały charakter generalny, być więc może, że na całym obszarze Rzeczypospolitej znajdują się oazy choćby względnego dobrobytu; tem niemniej uważam za swój obowiązek w kilku lapidarnych linjach, w formie pytań, zobrazować warunki nie egzystencji, bo to byłoby zbyt silne, ale wegetacji ziemiaństwa pomorskiego, wśród którego od lat jedenastu pełnię w miarę swoich sił służbę społeczną.

Czy więc Panu wiadomo, że jeszcze przed rokiem we wszystkich dworach pomorskich służbę żeńską zredukowano do minimum, a szumnie tak zwani lokaje w 3 czy 4 domach — to weterani, których nawet usunąć nie można?

Że wielu ziemian, nie mogąc ponosić kosztów edukacji swych dzieci, wycofało je ze szkół?

Że gwoli oszczędności, tak zwane pałace, o kilkunastu lub kilkudziesięciu pokojach, zredukowały się do dwóch, najwięcej trzech ubikacji, które są ogrzewane, ale tylko o tyle, żeby łyżka do warg nie przymarzła?

Że w ubiegłym roku służbę folwarczną zredukowano o 20 — 30 proc., a w tym roku nastąpiły dalsze redukcje, nawet do 100, wyraźnie STU procent normalnego składu?

Że przeciętny ziemianin już nie trzecią, ale czwartą klasą jeździ, gwoli zaoszczędzenia kilkudziesięciu nieraz groszy?

Że zaległości w Ubezpieczeniach społecznych w obu zachodnich województwach dochodzą do 40 miljonów, wskutek czego sekwestratorzy Kas Chorych robią spustoszenia w inwentarzu żywym i martwym, sprzedając go często za dwudziestą część wartości?

Że niemal każdy ziemianin w chwilach wolnych od załatwiania finansowych tranzakcji (czytaj: prolongat weksli) musi spędzać w sądach, gdzie go szarpią związki robot-

nicze i liczni szantażyści, korzystający z prawa ubogich, a więc nie ponoszący żadnego ryzyka napaści? i t. d. i t. d.

Obawiam się, że ze względu na objętość niniejszej repliki redakcja musiałaby jej odmówić gościny i dlatego ograniczam się do tych kilku przykładów, w przekonaniu, że one dostatecznie ilustrują faktyczny stan rzeczy. A ponieważ nie chciałbym ważnej sprawy traktować mimochodem, dlatego pozwolę sobie powrócić do zagadnienia, w drugiej części Pańskiej odpowiedzi zaakcentowanego.

Stanowi ona ciężki i niestety całkowicie usprawiedliwiony zarzut, że zarówno część ziemaństwa, jak i przedstawicieli przemysłu i wogóle większej własności, z uporem i mentalnością ćmy przyczyniała się do istnienia najradykalniejszego stronnictwa, jakiem jest narodowa demokracja; że niektórzy dziś jeszcze, po tylu, zdawałoby się, gorżkich doświadczeniach, zezują w stronę tego niewysychającego źródła obłudy i demagogji, usprawiedliwianej pozorami patrjotyzmu.

I ja chciałbym widzieć tych ludzi, nietylko związanych przewodnią ideą myśli zachowawczej, ale i zorganizowanych na podstawie konkretnego programu, w żywem Stronnictwie.

Wynik ostatnich wyborów w Anglji wywarł silne wrażenie na umysłach bardzo wielu myślących Polaków. Stykając się z ludźmi różnych sfer i zawodów, słyszę często zachwyty nad sprawnością, wyrobieniem i tężyzną Anglików, a równocześnie żal z powodu naszego rozbicia i braku organizacji, odpowiadającej konserwatystom angielskim.

Wielu z tych ludzi instynktownie ocenia potrzebę organizacji i wbrew przekonaniu, z powodu braku innej, tkwi w szeregach narodowej demokracji.

Oczywiście, ludzie ci nie wiedzą o poczynaniach leaderów konserwatyzmu polskiego, mniemając, że jest to grupka kilku, czy kilkunastu hrabiów i książąt, związanych węzłami towarzyskimi w klubie myśliwskim.

W stosunkowo lepszem położeniu są sfery ziemiańskie,

gdyż mają ułatwiony dostęp do Stronnictwa Chrześcijańsko - Rolniczego. Ale i ono, trzeba przyznać, tylko w okresie wyborów daje znać o swem istnieniu, poza tem jego węzły organizacyjne rozluźniają się do tego stopnia, że nawet zapisani członkowie zapominają nazwy swego ugrupowania.

Gdy sfery zachowawcze, niedość skonsolidowane, nie doceniające widocznie znaczenia organizacji, działają konspiracyjnie, to narodowa demokracja z całym rozmachem korzysta ze swego wypróbowanego aparatu agitacyjno - werbunkowego i z właściwą sobie „giętkością" nagina swój program i taktykę do mentalności środowiska, w którem wypada działać. Na usprawiedliwienie zaś rażących sprzeczności pomiędzy słowem i czynami zawsze znajdzie wypróbowany argument wyższej „racji stanu", podyktowanej ultra - patrjotyzmem.

Przy ogólnym braku wyrobienia politycznego, spotęgowanym katastrofą ekonomiczną, dezorjentacja robi postępy i niestety zarzut, na początku postawiony, znajduje swoje usprawiedliwienie.

Jeżeli jednak mówić będziemy o wynikającej stąd winie, to trudno nie przyznać, że w lwiej części ponosi ją „Góra" przez zaniedbanie kardynalnego warunku szerzenia swych idei na podstawie organizacji, wątpię bowiem, żeby ostatecznym celem twórców i propagatorów myśli konserwatywnej miała być d z i a ł a l n o ś ć c z y s t o t e o r e t y c z n a.

Chełsty (Pomorze).

Kazimierz Życki.

ODPOWIEDŹ „STAŃCZYKA".

Wdzięczny muszę być Szanownemu Autorowi powyższego listu za tak cenną, tak prawdziwą, tak realną, chociaż niezmiernie smutną informację o „rzeczywistej rzeczywistości" stosunków w terenie — poza t. zw. „wielkim

ołtarzem politycznym". Z uznaniem muszę również przyjąć do wiadomości gorzkie, lecz niemniej prawdziwe uwagi nad zaniedbaniem ze strony różnych wybitnych sfer zachowawczych pracy na terenie — a więc swego, w obecnych warunkach, w gruncie rzeczy najważniejszego zadania.

A czynię to z tem większą skwapliwością, że zarzuty, skierowane przez autora pod adresem konserwatystów, uważam niestety za słuszne i oddawna, w całym szeregu artykułów, piętnuję te właśnie błędy, nie zważając na popularność. Mogę też wskazać na wybitny i dosadny artykuł ks. Janusza Radziwiłła, zamieszczony w grudniowym tomie tego pisma z r. 1930, p. t. „O własnych siłach", w którym autor w sposób zdecydowany wskazuje na jaskrawą dysproporcję między stosunkowo znaczną liczebnością parlamentarnych przedstawicieli konserwatyzmu, a w porównaniu z tem niewielką ich podstawą liczebną w społeczeństwie i niewielką aktywnością w terenie; podnosi zarazem poważny głos przestrogi, że może nadejść pora, w której nie naszą własną siłą osiągnięty sukces na arenie wyborczej wykazać może całą złudność swych pozorów wskutek braku własnych szerszych podstaw konserwatyzmu w społeczeństwie.

Wyznać trzeba „w imię prawdy dziejowej", która jest dla mnie niezmiennym drogowskazem i sztandarem, że słowa te, z wielką wypowiedziane odwagą przez przywódcę skonsolidowanych pod egidą Komitetu Zachowawczego stronnictw konserwatywnych, jak również wszelkie inne dotychczasowe wysiłki zaktywizowania naszego świata zachowawczego do intensywniejszej, systematycznej, skoordynowanej akcji pozaparlamentarnej, nie odniosły dotąd należytego rezultatu. Twierdzę stanowczo — bez względu na to, czy się to komu spodoba lub nie spodoba — że sfery zachowawcze w Polsce robią wciąż jeszcze na mnie wrażenie, jakgdyby nie dorosły do otwartej przed niemi roli, jakgdyby nie zdawały sobie sprawy z niebywale ko-

rzystnego dla ich szerokiej ekspansji historycznego momentu i nie umiały go odpowiednio wykorzystać.

A na to twierdzenie mam, między innymi, trzy główne, codzienne, jaskrawe dowody.

Po pierwsze — niezmierna trudność, nieraz wprost rozpaczliwa, pociągnięcia konserwatystów, choćby w nielicznych zespołach, do jakiejś czynnej, zorganizowanej akcji w pewnej sprawie, czy w pewnym kierunku. Sześciu wołami nie jesteś w stanie ruszyć z miejsca takiego ziemianina, czy przemysłowca, czy publicysty, czy uczonego, czy innych zawodów przedstawicieli, wyznających światopogląd zachowawczy. Powtarza się stale jedna i ta samą tragikomedja: powszechna skarga na brak aktywności własnego Stronnictwa, a w razie jakiejkolwiek inicjatywy — epidemiczny brak ludzi, chętnych do wzięcia udziału na serjo w jakiejś robocie.

Niebrak zdolnych, niebrak rozumnych, ale niech wśród nich padnie hasło jakiejś czynnej, celowej, systematycznej akcji, to działa jak wystrzał śrutu wśród stada kuropatw. Rozbiegają się w popłochu na wszystkie strony, chowając się w krzaki, wśród skwapliwych wymówek „nawału zajęć“, ciężkich czasów, niefachowości politycznej i t. d. i t. d. Koniec końcem, każdy skarży się i krytykuje, a nikt niczego na serjo robić nie chce. Wydaje się, jakgdyby jakaś niemoc sparaliżowała wszelką tężyznę i aktywność elity społecznej i politycznej naszego społeczeństwa. A tymczasem marnują się bezcenne okazje i korzyści....!

Powtóre — jedni jedyni polscy konserwatyści, z pośród wszystkich stronnictw na świecie, wstydzą się... konserwatyzmu! Wstydzą się własnych przekonań. Endek jest wszędzie endekiem, socjalista wszędzie z dumą podnosi swe przekonania, tak samo konserwatysta angielski, tak samo demokracja wszystkich krajów i wszelkich kategorji, nie mówiąc już o faszystach i bolszewikach.

Natomiast polski konserwatysta, osiągnąwszy gdziekolwiek jakiekolwiek nieco wybitniejsze stanowisko oficjalne, czy pół-oficjalne, czy nawet prywatno-gospodarcze, uważa sobie za pierwszy punkt honoru i racji stanu schować pod stół swą etykietę zachowawczą i stać się „neutralnikiem“. Stąd, jak codzienne doświadczenie wykazuje, dzisiejsi polscy konserwatyści wszelakiego stanu i zawodu, gdy tylko otrzymają jakieś stanowisko, mandat, misję czy posadę, są praktycznie dla konserwatyzmu niemal straceni. Oczywiście są chwalebne wyjątki od tej smutnej reguły, która jednak przez to właśnie tembardziej się potwierdza.

Jakiś nieokreślony strach przed „konsekwencjami“ zdecydowanego konserwatywnego oblicza, jakaś niesamowita obawa przed własnym cieniem (urzędowym, gospodarczym czy innym) nakazuje tym ludziom okrywać się natychmiast kapturem „neutralności“. Sądzą, że przez to właśnie wielkich dokażą czynów i wielką oddadzą przysługę dostojeństwu idei zachowawczej!

Zamiast dumnie podnosić czoło, jako wyznawcy najwyższego politycznego intelektu, przed którym — mimo wszystko — każdy demokrata, a tembardziej demagog, czuje jednak dotąd jeszcze pewien mimowolny szacunek, nie rozumieją ci wszyscy wstydliwi krypto-konserwatyści, jak bardzo obniżają godność światopoglądu, który za najwyższy trybunał i dyrektywę życia publicznego uznaje autorytet Boski, a nie, jak demokracja, autorytet tłumu, motłochu. Wygląda to tak, jakgdyby np. katolicy wstydzili się swej religji i skłaniali skwapliwie głowę przed pierwszem lepszem innem wyznaniem, czy nawet ateizmem!

A przecież neutralność jest niczem innem, jak prostą obojętnością wobec złego i dobrego. Neutralność jest „zezwalaniem na grzech cudzy“. Neutralność jest nietylko bezpłodną, śmieszną, małoduszną, ale wprost niemoralną. Już Dante napiętnował w swej „Boskiej Komedji“ ludzi neutralnych słowami najwyższej pogardy: niebo ich nie chce,

na piekło nie zasłużyli, więc wiodą gdzieś, w osobnem miejscu, żywot rozpaczliwie szary, beznadziejny.

Pewien znany profesor uniwersytetu, niewątpliwy konserwatysta, dał raz na moje zapytanie, dlaczego uchyla się od współdziałania w stronnictwie zachowawczem, taką wielce charakterystyczną odpowiedź: „Jestem całą duszą z wami, ale mając do czynienia w seminarjach ze studentami różnych przekonań, od konserwatystów do komunistów, muszę, jako pedagog, zachować neutralność“.

Zaiste, mądry pedagog, który, będąc konserwatystą-katolikiem, traktuje ze „sprawiedliwą neutralnością“ katolicyzm i bolszewizm!!!

Do tak osobliwej racji stanu nie wzniósłby się z całą pewnością żaden zwolennik jakiegokolwiek innego światopoglądu czy stronnictwa na całym świecie. Potrzeba na to jakiejś dziwnej, niesamowitej psychozy „słowiańskiej“, która sądzi, że chowaniem głowy w piasek podniesie godność idei zachowawczej i wielkich dokona czynów!

I dlatego, odrzucając na bok wszelką małoduszną sofistykę w tym przedmiocie, twierdzę stanowczo, że *dopóki każdy szczery zwolennik konserwatyzmu nie stanie do pracy obywatelskiej z otwartą przyłbicą i z godłem swego światopoglądu, wyraźnie wypisanem na tarczy, tak długo idea zachowawcza nie uzyska w Polsce żadnych trwalszych podstaw, ani znaczenia, ale będzie zawsze tylko igraszką i niewolnicą każdej konjunktur.y.*

Po trzecie — musimy się niestety, czy nam to miło, czy nie miło, zgodzić z Szanownym Autorem listu, że „góra“ konserwatywna nie zawsze prowadzi nas w tym właściwym kierunku, w jakim iść pragniemy. Musimy jednak bliżej sprecyzować wysunięte przez autora pojęcie „góry“, aby nie wydać zbyt powierzchownego lub niesprawiedliwego sądu. Nieraz bowiem jesteśmy świadkami, że prezy-

dja stronnictw zachowawczych dokładają starań, aby stronnictwa te zaktywizować. Często też z centralnych biur tych stronnictw wychodzi taka inicjatywa, a nawet bardzo poważne robione są wysiłki. Ale zaświadczyć mogę równocześnie, że inicjatywa ta i wysiłki zbyt często pozostają daremne.

A dzieje się to, między innemi przyczynami, przedewszystkiem dlatego, że wśród ogółu czvnniejszych, wybitniejszych konserwatystów, którzy najbardziej mogliby się do rozwoju sprawy naszej przyczynić, panuje od lat kilku nieco zbyt jednostronne nastawienie.

Oto całe zainteresowanie przeważnej większości tych panów skierowało się ku arenie polityki oficjalnej resp. parlamentarnej, ze wszystkiemi jej codziennemi, często efemerycznemi aktualjami, wypadkami, konjunkturami, prognozami i t. d., które wszystkie tę jedną najsłabszą mają dla nas stronę, że... wcale od nas nie zależą! Nie w naszem ręku spoczywają rządy i losy polityki oficjalnej, nie nasze głosy wysłały do parlamentu tych kilkudziesięciu posłów i senatorów, którzy tworzą tam konserwatywne skrzydło Bloku Bezpartyjnego. Rola więc naszych parlamentarzystów jest w istniejących warunkach z natury rzeczy ograniczona, a jeszcze bardziej ograniczony jest jakikolwiek bezpośredni wpływ pozaparlamentarnych szeregów zachowawczych na politykę oficjalną.

Stąd też i wszelkie nadmierne aferowanie się tym odcinkiem obecnej roli konserwatyzmu, te wszystkie nasze prywatne zebrania, dyskusje i „uchwały" na ten właśnie temat, ta nadmierna wprost żądza „aktualnych informacji" z Warszawy, jaką pałają konserwatyści wszystkich trzech dzielnic państwa — wszystko to grubo jest przesadzone, bezcelowe i zajmuje nam tylko drogi czas, który niepomiernie większą korzyścią mógłby być zużytkowany na innem polu. Co gorzej, nieraz to nadmierne zaciekawienie przemijającemi aktualjami polityki parlamentarnej i aferowanie się niemi,

jakgdybyśmy, nieparlamentarzyści, decydującą tam odgrywali rolę, jest w istocie wymówką czy przeszkodą, tamującą podjęcie jakiejkolwiek zdecydowanej, celowej pracy politycznej lub gospodarczej na innych polach, gdzie naszę lapidarne zdanie, nasz przykład i wpływ na opinję publiczną mogłyby rzeczywiście wiele zdziałać i służyć zarazem konstruktywnym zamierzeniom rządu realną pomocą.

Bo prawdę mówiąc, jakiż praktyczny, pozytywny, namacalny rezultat mogą mieć te różne „informacje", dyskusje i przewidywania polityczne, w jakie bawią się tak często i z takiem przejęciem różne zebrania zachowawcze? Co my, otrzymawszy danego dnia taką a taką wiadomość, wersję czy plotkę kuluarową, możemy z nią zrobić? Nic! Dyskusja, choćby najpiękniejsza, informacja, choćby najciekawsza, musi się w naszem gronie z natury rzeczy skończyć tylko na... dyskusji! Żadnej konkretnej inicjatywy, żadnego objektu do konkretnej akcji i pracy z tych informacji i dyskusji o perypetjach parlamentarnych nie będziemy w stanie w danych warunkach wyciągnąć.

Kto chce być konserwatystą, a więc zwolennikiem polityki realnej, musi mieć koniecznie zmysł rzeczywistości. Tylko dzieci bawią się strzelbą, z której im strzelać nie wolno. Kto pragnie informacji, ten niech przeczyta codziennie jedną lub dwie gazety, a pozatem, stykając się z ludźmi, będzie miał aż nadto wystarczające informacje o tem, co się dzieje i o czem wiedzieć powinien. Wszystko, co ponadto, to już tylko szczegóły, potrzebne dla parlamentarzystów lub osób, zajmujących urzędowe stanowiska, ale *bez żadnej praktycznej wartości dla konserwatywnego ogółu.*

Natomiast jaskrawym odłogiem leży cała olbrzymia reszta pola działania intelektu konserwatywnego. Na tem polu bardzo nieliczne tylko mozolą się jednostki, opuszczone przez innych, a często nawet zlekceważone. Bo tam niemasz sensacyjnych informacji z Warszawy, tam

niemasz aferowania się wersjami kuluarowemi, a tam natomiast jest pozytywna, samodzielna, żmudna praca, która jednych nudzi, drugich odstrasza. I dlatego niezbyt kwapią się do niej kandydaci. Lepiej, wygodniej, weselej i zabawniej informować, dyskutować, kuluarować i aferować się lada przygodą dnia.

I w tem leży właśnie wielka omyłka ogółu konserwatystów, zbudzonych do świadomości swego światopoglądu po przełomie majowym. *Olśnieni pozorami perspektywy „udziału w rządach“, która była im przez siedem pierwszych lat niepodległości zamknięta, przerzucili cały swój ciężar gatunkowy na odcinek, na którym stosunkowo najmniej mogą zdziałać, negliżując natomiast te liczne odcinki pracy publicznej, na których mogliby zdziałać najwięcej, gdyby tylko zechcieli główne swe wysiłki tam skierować.*

Zapewne, wielkim jest dla nas sukcesem udział kilkudziesięciu przedstawicieli obozu zachowawczego w parlamencie, a niektórych nawet na wysokich stanowiskach urzędowych. Ale ten wyjątkowy stan rzeczy w demokratycznem, sześcioprzymiotnikowem państwie, nie powinien innych konserwatystów oślepiać, ani skłaniać do lekceważenia ich właściwej roli na innych polach. Spójrzmy prawdzie w oczy: wszak my w danych warunkach nie jesteśmy w możności żadnej wogóle samodzielnej, własnej, specyficznie konserwatywnej polityki na arenie oficjalnej prowadzić! Mogą tam tylko nasi przedstawiciele *w pewnym stopniu przyczynić się* do prac pewnego, znacznie szerszego zespołu, starając się równoważyć, w miarę możności, tendencje bardziej postępowych żywiołów. Natomiast na wszystkich niemal innych polach pracy publicznej i społecznej oraz wpływów na nastawienie opinji, która jest zawsze fundamentem ustroju i dążeń pań-

stwa, możemy prowadzić swobodnie własną, specyficznie zachowawczą politykę, zdziałać wiele dobrego i zapisać się wybitnie na kartach historji.

Ale tego zbyt wielu jeszcze nie rozumie. I w tem właśnie tkwi cały nasz tragizm obecny, który ogromną liczebną większość zwolenników światopoglądu zachowawczego odstręcza od żywszego udziału w pracy publicznej, zamyka ich całkowicie w ciasnem podwórku beznadziejnych gospodarczych trosk i kłopotów i zdaje na łaskę i niełaskę każdej konjunktury.

Demokracja stanowczo lepiej tę rzecz rozumie. Pomimo, że posiada w Sejmie spore zastępy posłów, własnymi jej głosami wybranych i wskutek tego miałaby daleko większe uzasadnienie zajmować się i przejmować każdym szczegółem, który się tam rozgrywa, to jednak równie wielką, a często nawet większą wagę przykłada do pracy w terenie, do rozwoju swych organizacji, ekspansji swych programów i kaptowania dusz.

My oczywiście na kaptowanie mas nie pójdziemy, ale właśnie dlatego tem mniej powinniśmy się jednostronnie aferować rozgrywkami na arenie oficjalnej, a tem większy położyć nacisk na nasze własne zadania. Wszk tyle gromadzi się obecnie piekących bolączek, potrzeb i problemów państwowych! Kto ma się niemi zająć, kto ma wypracować ich racjonalne rozwiązanie, kto ma wywrzeć nacisk na rządy i opinję publiczną w kierunku zniesienia, czy reformy długiego szeregu ustaw bolszewizujących, stworzonych w czasach demagogicznej sejmokracji, które po dziś dzień rujnują państwo, dochód, kapitał i wszelką inicjatywę twórczą, zamykając zgóry naprawę stosunków? Kto ma obowiązek dziejowy wskazać jasno i lapidarnie co dobre, a co złe, co mądre, a co absurdalne? Kto ma obowiązek opracować i szeroko rozpropagować konkretne projekty naprawy tych wszystkich skomplikowanych ustaw i problemów, bez względu na to, czy dany rząd lub dana większość sejmowa zechce lub nie zechce, w części lub

w całości, z nich skorzystać? Kto ma opracować i wytyczyć narodowi główne tory jego dążeń i wysiłków w polityce wewnętrznej i zagranicznej, aby naród ten przysposobił się zawczasu do rozwiązywania tych najdonioślejszych, najżywotniejszych problemów? Kto jest najbardziej do tego powołany?

Usłyszę na to stereotypową, banalną odpowiedź: oczywiście rząd! Odpowiedź niezmiernie wygodna i bardzo w modzie, ale — całkiem błędna. Bo dzisiaj rządy są przedewszystkiem poto, aby rządzić, czyli załatwiać bieżące sprawy państwowe wewnętrzne i zewnętrzne i to w taki sposób, aby sprawy te mogły być natychmiast, a przynajmniej w możliwie niedługich terminach realizowane w postaci ustaw, rozporządzeń lub pociągnięć dyplomatycznych. Wobec zaś nawału tych wszystkich bieżących i piekących zadań, któremi rządy państw są dzisiaj i tak już często ponad fizyczną możność przeciążone, niewiele pozostaje im czasu i głowy na stopniowe, z natury rzeczy dłużej trwające rozwiązywanie głębszych problemów politycznych, narodowościowych, prawnych, społecznych i gospodarczych. Robią i to naturalnie, ale tu właśnie niezbędną jest także myśl i akcja społeczeństwa. A kto ma być tym mózgiem politycznym społeczeństwa właśnie w takich sprawach i to zwłaszcza w okresie rozhulania się na całym świecie wszelakich namiętności i najdzikszych, najsprzeczniejszych koncepcji i prądów? Oczywiście intelekt zachowawczy, który jednak działać powinien nadewszystko p r e w e n c y j n i e, kalkulując mądrze przyczyny i skutki, a nie ograniczać się do nieśmiałego, dorywczego łatania dziur, zbyt często po niewczasie, gdy już coś złego weszło w życie i z trudnością da się wyplenić.

Oto moja odpowiedź na skargę, zawartą w liście p. Życkiego. Jest winną „góra“ zachowawcza w szerokiem tego słowa znaczeniu, ale w równej mierze winne są również i „doły“. Jakkolwiek bowiem „góra“ ta jest

w znacznej części zbyt jednostronnie na oficjalną arenę nastawiona, tak z drugiej strony „doły“ wprost uciekają od czynniejszego, systematyczniejszego, zbiorowego zajęcia się sprawą publiczną, tak, że nawet wezwania ze strony „góry“ pozostają bez odpowiedniego echa.

W rezultacie ci wszyscy, którzy tkwią w jakiejś pracy zawodowej, stronią od czynnego udziału w polityce, wymawiając się nawałem zajęć, kryzysem gospodarczym, etc., a pozostawiając troskę o sprawy publiczne „politykom“. Wyobrażają sobie w świętej naiwności, że w świecie zachowawczym istnieje jakaś osobna kasta „polityków“, czyli ludzi bez zajęć i kłopotów, którzy — nie mając nic innego do roboty — powinni gdzieś tam daleko, w Warszawie, politykę zawodowo uprawiać, przy kompletnej bierności i apatji apolitycznych zawodowców. W oczach szerokiego ogółu sfer zachowawczych jest więc „polityk“ jakimś krezusem-leniwcem, jakąś wyjątkowo uprzywilejowaną istotą, która nie ma żadnych innych zajęć, ani trosk, ani weksli, ani podatków, ani długów, ani zawodu, ani warsztatów pracy, a natomiast ma służyć pp. ziemianom, przemysłowcom, dyrektorom banków, uczonym i t. d. do robienia dla nich, bez ich fatygi, takiej polityki, aby im było jak najlepiej na świecie!!!

Nie, moi panowie, tak dobrze nie jest! Takich uprzywilejowanych istot do robienia za innych polityki niema w Polsce. Ja nie znam osobiście ani jednej. A jeżeli istnieją gdzieniegdzie tacy bogacze-leniuchy, bez zawodu i bez kłopotów, to mogę zapewnić kategorycznie, że tacy ludzie ani polityką się nie zajmują, ani nie byliby w stanie wogóle nic mądrego zdziałać. Bo skutecznie pracować w życiu publicznem mogą właśnie tylko ludzie wyrobieni w pracy, mający określony zawód, zajęcie, obowiązki, odpowiedzialność, a więc znający wymagania życia i różne krajowe potrzeby.

Pamiętam — kiedy armje bolszewickie zbliżały się pod Warszawę, pewien bardzo poważny człowiek, wyszkolony przez całe życie w intensywnej pracy i walce na różnych polach, na gorączkowe pytania, co robić wobec grozy niebezpieczeństwa, gdzie szukać ratunku, odpowiadał stale: „Bronić się!“. I ja też nic innego nie jestem w stanie odpowiedzieć tym wszystkim, którzy mnie zarzucają pytaniami, jak ratować się w obecnym kryzysie gospodarczym i społecznym. Ale bronić się, to nie znaczy kręcić się w kółko luzem w obrębie własnego podwórka, ale wywrzeć zrzeszony, zdecydowany wpływ zorganizowaną akcją na arenie publicznej.

„Stańczyk“.

LIST PASTERSKI J. E. KS. BISKUPA STANISŁAWOWSKIEGO GRZEGORZA CHOMYSZYNA.

Niniejszy List Pasterski ks. G. Chomyszyna, Biskupa obrz. grecko-katolickiego w Stanisławowie, ogłoszony został wprawdzie już przeszło rok temu. „Nasza Przyszłość“ nie zajmowała się jednak wówczas jeszcze bliżej problemem polsko-ukraińskim i dlatego, nie mając dokładniejszych danych do zajęcia zdecydowanego stanowiska w tym przedmiocie, nie zajęła go też i w stosunku do wymienionego Orędzia.

Sądzimy jednak — ze stanowiska naszego miesięcznika — że sprawa nic na tem opóźnieniu z naszej strony nie straciła, a nawet przeciwnie, zyskać może niewątpliwie przez zamieszczenie tego doniosłego Listu w tłomaczeniu in extenso właśnie w chwili obecnej. List Pasterski ukazał się wprawdzie bowiem w momencie koniecznym, niezadługo po zakończeniu t. zw. akcji pacyfikacyjnej w Małopolsce wschodniej, a więc w chwili, kiedy głos wysokiego autorytetu duchownego po stronie ukraińskiej powinien się był odezwać w sposób łagodzący, a zarazem reflektujący i krytyczny pod adresem obu społeczeństw, szczególnie w tym okresie wzajemnie na siebie rozjątrzonych. To się stało i zrobiło swoje.

Ale wówczas, rok temu, nie była jeszcze pora, odpowiednia do natychmiastowego wyciągnięcia pewnych p r a g m a t y c z n y c h   k o n k l u z j i, którym List Pasterski wskazał ideową podstawę. Zanadto świeże były jeszcze poprzednie wypadki, a z drugiej strony różni polscy działacze, pod wrażeniem chwili i konjunktury, niedość zgłębiając organiczną istotę problemu, rzucili się doryczo na załatwienie „od ręki“ całokształtu sporu i pro-

blemu polsko-ukraińskiego, zwracając się w niewłaściwych kierunkach, robiąc z tej sprawy zbyt może hałaśliwą propagandę, aż wreszcie strzały, wymierzone w ś. p. Tadeusza Hołówkę, przerwały nagle tę akcję. Nastąpiła cisza i sprawa... utknęła na martwym punkcie.

Minęło tak kilka miesięcy. I wówczas wytwarzać się zaczęła dopiero atmosfera, w której podjąć można było znowu pracę w zakresie problemu polsko-ukraińskiego — ale całkiem innym sposobem i systemem, niż to się działo poprzednio. Oba społeczeństwa, a przynajmniej ich warstwy inteligentne — ogółem biorąc — zaczęły rozumieć, jedni świadomie, drudzy podświadomie, że „tak dalej nie idzie", że szowinizmem, radykalizmem, hasłami i sztucznemi pertraktacjami o charakterze „dyplomatycznym" niczego osiągnąć się nie da. Zarówno polskie, jak i ukraińskie społeczeństwo — za wyjątkiem różnych radykałów, szowinistów, wywrotowców i innych mącicieli spokoju — zaczęło coraz wyraźniej okazywać, że ma już dość walki politycznej, społecznej i narodowościowej, a przedewszystkiem dość politykierji z jednej i drugiej strony; że chce nareszcie po ludzku żyć i — zarabiać!

Dlatego, zdaniem naszem, nadeszła obecnie chwila, aby wielce doniosły dla Ukraińców i dla Polaków List Pasterski ks. Biskupa Chomyszyna w całej rozciągłości powtórzyć. I nietylko powtórzyć, ale dobrze się nad nim zastanowić i różne jego tezy wcielić w czyn poważną, spokojną, realną współpracą rozumnych, religijnie myślących sfer polskich i ukraińskich nad stopniowem, nie tyle „rozwiązywaniem problemu" współżycia polskiej i ukraińskiej ludności na Rusi Czerwonej systemem sztucznych porozumień, złudnych obietnic wzajemnych i „dyplomatycznych pertraktacji", ale prostym sposobem pozytywnego współdziałania w imię obopólnej, najoczywistszej racji stanu.

Przytaczamy więc ów List Pasterski w dosłownem tłomaczeniu, podkreślając rozstrzelonym lub tłustym dru-

kiem szereg zawartych w nim twierdzeń, które wydają nam się szczególnie doniosłe.

Grzegorz Chomyszyn,
z Miłosierdzia Bożego i Świętej Apostolskiej Stolicy błogosławieństwa
Biskup Stanisławowski,
wszystkim ludziom dobrej woli
pokój w Panu i Arcypasterskie błogosławieństwo!

Słowa Pisma Św.: „Gdy Bóg nie zbuduje domu, nadarmo trudzą się budownicy" (Ps. CXXVIII, 1.) odnoszą się nietylko do budowy domu zwykłego, ale do wszelkiego dzieła, jak w życiu jednostek, tak i w życiu społeczeństwa. Odnosi się to tembardziej do budowli narodowej i państwowej. Mężowie, jako budownicy budowli narodowej albo państwowej, muszą w swych trudach i zamierzeniach powodować się przyrodzonemi i nadprzyrodzonemi prawami Bożemi i etyką, bo tylko te zasady i prawa są niezłomne i niezachwiane. One jedynie mogą być trwałym fundamentem, na którym może bezpiecznie wspierać się życie narodu i budowa państwa.

Kiedy wglądniemy w historję narodu ukraińskiego, musimy przyznać, że w budowaniu państwa jego brakowało tego silnego i trwałego fundamentu. Bizantynizm, z którego zrodziliśmy się i wzrośli, nie wytworzył u nas prawdziwego autorytetu, jak również poszanowania go i posłuszeństwa, a równocześnie nie odrodził wewnętrznego życia duchowego i nie zbudził u nas wyższych idei. Jest to naszem głównem złem, jest naszą niemocą chroniczną, która złowrogo odbija się na historji naszego narodu. Chociaż nie brakło u nas wielkich i utalentowanych mężów, to jednak naród nasz, aczkolwiek obdarzony tylu pięknemi zaletami, nie potrafił utrwalić państwa swego ani w czasach książęcych, ani kozackich, ani obecnych. Liczni nie-

przyjaciele narodu naszego zginęli i przeminęli, ale ten jeden wróg jego — anarchja — zawsze zostawał.

Weźmy ostatni poryw narodu naszego do budownictwa własnego państwa pod koniec wojny światowej. Wszystkie okoliczności wskazywały na to, że była możność utworzyć własne państwo. Małe i maleńkie ludy osiągnęły swoje niepodległe państwa, a nasz 40-miljonowy naród został rozbity i rozdarty między inne państwa i rzucony na pastwę losu. A dlaczego? Bo tutaj właśnie wyszła na jaw nasza anemja duchowa, tutaj właśnie rażąco zaznaczył się brak zastosowania w życiu zasad wiary i etyki, a w ślad za tem nie było u nas silnego i mądrego autorytetu, jak również nie było ogólnego, wypływającego z idei posłuszeństwa i poświęcenia. Do głosu przyszli demagodzy, wzięły górę elementy destruktywne, które, chociaż jeszcze państwo własne nie było zbudowane, już wypowiedziały wojnę Bogu. I spełniły się na nas słowa odwiecznej Prawdy, że jeżeli Bóg nie zbuduje domu, nadaremnie trudzą się budownicy.

A gdy nie zbudowaliśmy własnego państwa, to owa część narodu ukraińskiego, która pozostała pod władzą polską — innych jego części w innych państwach w niniejszym liście nie biorę w rachubę — powinna poważnie i mądrze zreflektować się i zająć stanowisko, któreby bodaj jakbądź umożliwiło jej egzystencję i rozwój. Były chwile i sposobność, kiedyśmy mogli osiągnąć pewne korzyści i ulgi, jednakowoż nasi przewódcy — jakgdyby zaślepieni — stanęli na stanowisku negacji, gorączki narodowej i demagogji. I ponosimy z każdym dniem wielkie straty, a polskim sferom rządowym i społeczeństwu polskiemu dajemy powód i sposobność zastosowywać tem większą bezwzględność wobec narodu ukraińskiego. A przecież zwykły rozum mówi, że żadne państwo w świecie nie mo-

że tolerować, a tembardziej przychylnie traktować obywateli, którzy nie chcą go uznać lub podporządkować się jego władzy. W ten sposób, utraciwszy swój dom, chcemy pozbyć się i reszty majątku, który nam jeszcze pozostał.

Również przyrodzony rozum mówi, że gdy mamy przeciw sobie zwycięskiego i silnego przeciwnika, to byłoby dowodem wielkiej głupoty stawać z nim do walki. Potwierdzenie tej prawdy znajdujemy w słowach Jezusa Chrystusa, który mówi, że wszelki włodarz, mający walczyć z innym włodarzem, najpierw rozważa, czy może rozpoczynać walkę, mając 10 tysięcy wojska, podczas gdy przeciwnik ma 20 tysięcy. A kiedy zobaczy, że jest to niemożliwe, wtenczas naprzód wysyła prośbę o pokój (Łuk. XIV, 31 — 32). Jakże inaczej myśmy postąpili, kiedy, nie mając nawet amunicji, odrzuciliśmy pokój, który nam przedkładały najsilniejsze państwa świata!

Jeszcze jaśniej w dzisiejszem naszem położeniu powinno nam przyświecać światło wiary, która mówi, że nic i nigdzie nie dzieje się bez Opatrzności Boskiej. Losem ludzi pojedyńczych, jak i narodów, kieruje ręka Pańska. Wyroki Boże są nieraz dla nas utajone, ale wszystkie są słuszne i sprawiedliwe. Bóg wedle Swej najwyższej mądrości i największej sprawiedliwości jedne narody podnosi, inne poniża, a dyplomaci i politycy są tylko narzędziem, którem Opatrzność Boska posługuje się w swych planach kierowania ludami.

Kiedyśmy stracili państwo swoje i władzę i pozostaliśmy w innem państwie, pod cudzą władzą, to władzę tę musimy uznać, bo niema władzy, którąby nie była od Boga“ (Rzym. XIII, 1), bez względu, czy ta władza przeznaczona jest dla podwładnych za karę albo pokutę lub też na dobro i wywyższenie. I władzy tej musimy się podporządkować, o ile ona nie wymaga łamania prawa Bożego, przyrodzonego lub nadprzyrodzonego.

I dlatego nasze negatywne stanowisko wobec pań-

stwa polskiego, chociaż dla nas obcego, nie odpowiada wymaganiom ani prostego przyrodzonego rozumu, ani wiary i etyki, a nam, obezsilonym, przynosi wielkie straty i szkody.

A już bezwzględnie trzeba potępić, jak to wszyscy Biskupi nasi zrobili zeszłego roku we wspólnym liście pasterskim, wszelkie sabotaże i organizacje tajne, chociażby one powstawały i działały w imię patrjotyzmu i idei narodowej. Aktów sabotażu nie można nazwać bohaterskimi, chociażby były dokonywane z narażeniem własnego życia, są bowiem nieetyczne. „Omne bonum ex toto, malum ex quacunque parte“. Żeby nasz uczynek był dobry, musi on być dobrym sam w sobie, używać środków, moralnie dozwolonych i mieć cel szlachetny. Kiedy jednego tylko brakuje, uczynek jest grzeszny, moralnie zły. Chociażby cel był najpiękniejszy, ale gdy środki, albo uczynek sam w sobie są grzeszne, to cała sprawa jest moralnie zła i pociąga za sobą złe i nieraz bardzo gorzkie konsekwencje.

Zwykle w sabotaże daje się wciągać młodzież, ona bowiem jest bardzo wrażliwa na wszelkiego rodzaju niesprawiedliwości, uzasadnione czy nieuzasadnione, a nie mając doświadczenia i dojrzałej rozwagi, bo kieruje się uczuciem, daje się bardzo łatwo pociągnąć do niebezpiecznych działań. Ile przez to złamanych i zmarnowanych dusz młodych! A przecież młodzież — to przyszłość i fundament siły i potęgi narodu! Najcięższy wróg narodu naszego nie może mu wyrządzić większej krzywdy, aniżeli wciąganiem naszej młodzieży do tego rodzaju uczynków. Bo właściwie, jaka jest korzyść z sabotaży dla naszego narodu? Oczywiście — żadna. Przypuśćmy, że tymi sabotażami lub im podobnemi działaniami osłabi się lub nawet rozwali się państwo polskie, to czyż przy ich pomocy zbuduje się państwo ukraińskie? Nie! Tego rodzaju działaniem nie buduje się państwa. *Tylko ślepy nie widzi, że dla budowy państwa konieczne są uczynki pozytywne, a nie negatywne.* Mamy przecież przykłady nawet w naszej historji, że cho-

ciaż albo my, albo inne historyczne wypadki rozwaliły państwa, do których należeliśmy, — jak np. przy końcu XVIII. st. państwo polskie, a na pocz XX. st. austrjackie i rosyjskie — to trwałego ukraińskiego państwa nie utrzymaliśmy. A dlaczego? Bo nie byliśmy pozytywnie przygotowani do własnego państwa. Przypuśćmy nawet, że przy pomocy tych sabotaży powstanie własne państwo, to czy państwo to będzie mogło utrzymać się i rozwijać? Nie! Bo wytworzy się anarchistyczno-konspiracyjny system, który będzie działał i przeciw własnemu państwu, nawet przeciwko tym, którzy teraz ten system uprawiają; i system ten rozwali własne państwo. Dlatego, dla Boga! z miłości do narodu swego za nic w świecie nie pozwalajmy łamać dusz młodzieży naszej! Nie zabijajmy narodu w jego korzeniu, nie popełniajmy samobójstwa na sobie! Młodzież nasza niech się uczy, niech pracuje, niech hartuje się, niech wyrabia w sobie charakter stalowy, bo tylko z takiej młodzieży mogą wyrosnąć mężowie silni, którzy będą wprawnymi i mądrymi przywódcami losu narodu swego i państwa.

W końcu należy zwrócić uwagę, że tego rodzaju organizacje tajne i sabotaże może właśnie są na rękę szowinistycznym czynnikom społeczeństwa polskiego, ażeby miały przyczynę do jeszcze większych represji, a przed światem usprawiedliwienie.

Czy może być ktoś na tyle naiwny, aby wierzyć, że organa państwowe nic nie wiedzą o tajnych organizacjach i ich ruchach? Czy nie można przypuścić, że władza może czas jakiś spokojnie obserwować i tolerować sabotaże w tym celu, ażeby odpowiedni moment wykorzystać i uderzyć z całą siłą? I co my wtenczas zyskujemy? Przecież głosy prasy zagranicznej ulgi nam nie przyniosą, a postronne państwa mogą okazać nam tylko platoniczną sympatję

i to o tyle, o ile wymaga ich interes państwowy. Postronne państwo, wrogo usposobione do Polski, może naumyślnie podtrzymywać nasze niezadowolenie i krzyczeć na całe gardło o naszych krzywdach, ale robi to we własnym interesie, bo kto wie, w jaki sposób dałoby ono odczuć nam pięść swoją, gdybyśmy znaleźli się pod jego władzą! A czystem już szyderstwem nad nami jest perfidna obrona ze strony bolszewików, którzy sami niszczą nasz naród na Wielkiej Ukrainie.

Ale chociaż nie można win i błędów z naszej strony usprawiedliwić, to jednak, kiedy rozważymy wszechstronnie podłoże, na którem one powstały, kiedy przypatrzymy się okolicznościom, które się do nich przyczyniły i kiedy rozsądzimy sprawę objektywnie, wziąwszy pod uwagę stosunek i postępowanie ze strony polskiej, to nasze winy i błędy przedstawiają się w nie tak bardzo rażącem świetle. Nawet sabotaże i organizacje tajne, chociaż potępienia godne, okażą się jako odruch konwulsyjnych drgań tonącego człowieka, porwanego wirem na głębiny wody, bez względu na to, czy sam rzucił się w głębiny, czy też porwała go rwąca woda.

Niepodobna zaprzeczyć, że istnieją wszelkie oznaki, które wskazują, że czynniki szowinistyczne społeczeństwa polskiego zdążają do tego, ażeby nas, Ukraińców, o ile możności zniszczyć. Dążenia te widoczne są nawet wśród ogółu prasy polskiej, bez względu na partje, które ona zastępuje. Niedawno temu jeden z głównych działaczy polskich dobitnie domagał się w prasie asymilacji wszystkich narodowych mniejszości w państwie polskiem, w tem i ukraińskiej. Ukraińcy w państwie polskiem traktowani są prawie jak obywatele drugiej klasy, niejako wyjęci z pod prawa. Nam nie wolno nawet nazywać się tak, jak chcemy. Państwo polskie pobiera od nas, Ukraińców, podatek majątkowy, a na wypadek wojny także podatek krwi,

ale po macoszemu spełnia względem nas swoje obowiązki, a przedewszystkiem w sprawie wykonywania i stosowania objektywnej sprawiedliwości. Zdaje się, że tradycyjne „prawem i lewem“ dotychczas jeszcze nie zniknęło. Nie wykonano wobec nas nietylko międzynarodowych zobowiązań co do autonomji, ale nawet uchwał Sejmu, np. co do t. zw. autonomji wojewódzkiej, która — teraz istniejąca — jest właściwie parodją. Ukraińcy zawsze wychodzą poszkodowani. Do urzędu trudny mają dostęp; albo ich wogóle tam nie przyjmuje się, albo tych, co są, redukuje. Na polu państwowego szkolnictwa Ukraińcy są pokrzywdzeni, a w swych własnym kosztem utrzymywanych instytucjach kościelnych, humanitarnych i oświatowych wystawieni na różne przeszkody i szykany. Co do szkolnictwa, to za Austrji mieliśmy je już dość dobrze rozwinięte: mieliśmy około 3.500 szkół ludowych, znaczną ilość średnich i siedem katedr na uniwersytecie lwowskim. Za Polski wszystkie nasze katedry we Lwowie zniesiono, część szkół średnich rozwiązano, a z tysięcy szkół ludowych zostało zaledwie 600 utrakwistycznych.

Co do traktowania przez Polaków naszych instytucji kościelnych, humanitarnych i religijnych i to utrzymywanych naszym kosztem, to dla wyświetlenia podam parę przykładów. Z ciężką biedą i z wielkiemi trudnościami zakłada się ochronkę dla dzieci, w której przez Kościół zatwierdzone i przez państwo uznane zakonnice uczą dzieci katechizmu, dbają o ich wychowanie i zajmują się dziećmi, kiedy ich rodzice zajęci są pracą poza domem. Tymczasem przychodzi z urzędu polskiego zapytanie, czy jest na prowadzenie ochronki zezwolenie Kuratorjum Szkolnego, bo ta ochronka — to „przedszkole“. I w jakim celu wymyślono to „przedszkole“? Dochodzi do tego, że wyższe władze szkolne, zamiast ułatwiać i wspomagać inicjatywę Kościoła lub społeczeństwa na tem polu, jeszcze ją utrudniają i przeszkadzają.

Albo te inne jeszcze przepisy i wymagania, np. czy

dzieci w ochronce mają meszciki, czy są przepisane stoliki i krzesełka, a nawet — jak słyszałem — czy jest pianino! Nie wiedzieć, czy w takim wypadku ramionami dźwignąć, czy oburzać się! U nas tutaj jeszcze nie Anglja lub Ameryka, a miejscowość ochronki nie Londyn lub New Jork! U nas dobrze jeszcze, gdy dziecko ma jakie takie buciki, ażeby mogło porą zimową pójść do ochronki, a tu wymagają jakichś meszcików i fortepianu, chociaż nędza gwiżdże i gra nawet bez fortepianu!

W jednym domu zakonnice własnym kosztem utrzymują małe, opuszczone dzieci i sieroty. Nieraz nocą upadłe matki pod drzwi podrzucają im niemowlęta. Niema ich gdzie pomieścić, dwoje lub troje musi spać na jednem łóżeczku. Aż raptem przyjeżdża wizytatorka i nie pyta, czy każde dziecko ma co jeść, gdzie spać, czy zakonnice mają z czego dzieci utrzymywać, ale pyta, czy każde dziecko ma szczoteczkę i proszek do zębów. Ależ proszek i szczoteczka do zębów w żaden sposób nie zastąpią chleba i innego pożywienia, potrzebnego dla dzieci!

I to dzieje się w instytucjach kościelnych, humanitarnych i religijnych, do utrzymania których państwo niczem się nie przyczynia. Nie przeczę, że odnośne przepisy obowiązują i polskie instytucje, zauważam jednak, że instytucje polskie są majętne, a oprócz tego w instytucjach polskich na różne niedomagania patrzą nieraz przez palce, a zato w ukraińskich przepisy owe są przyczyną często szykanowania, albo nawet zakazu. Zresztą owe wymagające przepisy w czasie dzisiejszego kryzysu i ogólnego zubożenia wyglądają na czystą ironję.

O poniżającem traktowaniu naszego duchowieństwa przez państwowe organa administracyjne, o szykanowaniu przez nakładanie kar pieniężnych lub aresztu za ukraińską korespondencję z urzędami, jak również w sprawach metrykalnych, nie będę tutaj dużo mówić, bo o tem mówiłem

niedawno w piśmie mojem do duchowieństwa z dnia 10.IX. 1930 r. (p. „Wistnyk“ Nr. VII—IX z 1930 r.).

Niemniej wgryzają się w duszę i do żywego dokuczają przepisy policyjne i administracyjne. Ustawicznie i na każdym kroku trzeba strzec się i oglądać, ażeby czasem nie przewinić przeciwko jakiemuś przepisowi, bo natychmiast kara pieniężna albo areszt. Przepisy przepisami, ale interpretacja ich i zastosowanie stają się czasem wprost nie do wytrzymania i często nie odpowiadają idei i poczuciu sprawiedliwości.

Przy tem wszystkiem naród ukraiński traktowany jest prawie jak heloci, którzy obowiązani są słuchać i płacić, a nie wolno im mieć swego własnego rozwoju, do którego mają prawo. Zdaje się, że jest to odgłos psychiki czasów jeszcze pańszczyźnianych. Każdy odruch życiowy narodu ukraińskiego, każde zaznaczenie swego własnego życia i rozwoju kulturalnego spotyka się nieraz ze strony społeczeństwa polskiego z zawiścią. Dorobek czysto ekonomiczny spotyka się również z szyderstwem, albo dają się słyszeć głosy: „Nie pozwolić im — t. zn. Ukraińcom — wzmacniać się!“. W polskiem, a do tego klerykalnem piśmie, umieszcza się artykuły, że Ukraińcy tutaj, na swej ziemi w Polsce, nie są tubylcami, ale „przybłędami“. Nazywaja nas wzgardliwie „kabanami“. Kiedy wojska polskie zajęły Galicję, to każda ich prawie pieśń była przeciw „kabanom“. Idąc ulicą, sam miałem sposobność słyszeć to wzgardliwe nazwisko. I nietylko od żołnierzy polskich można było je usłyszeć, ale również od świeckich Polaków, a nawet od osób stanu duchownego.

Wybudowali Ukraińcy gdzieś pomnik ku czci ukraińskich żołnierzy, poległych za wolność i przyszłość swego narodu, a natychmiast powstaje krzyk w prasie polskiej: „Dzicz hajdamacka, rozpętany bandytyzm!“ Społeczeństwo polskie swych bojowników za wolność swego narodu, nawet spiskowców, poważa i wynosi, jak bohaterów, jak „orły i orlęta“. Ale po ukraińskiej stronie uważa się

to samo za „barbarzyńskie hordy Ukraińców". Podobne wzgardliwe wyrazy o Ukraińcach czytamy nietylko w prasie polskiej brukowej, ale nawet w poważnej, konserwatywnej, nawet klerykalnej i to wydawanej przez zakonników!... Zaprawdę, trzeba heroizmu, trzeba wysoko podnieść się zasadami wiary i etyki ponad tego rodzaju namiętności, ażeby zachować spokój ducha, ażeby nie wyjść z równowagi! A tego przecież trudno wymagać od całego ogółu społeczeństwa ukraińskiego. I dlatego jest rzeczą zrozumiałą chociaż etycznie nieusprawiedliwioną i potępienia godną, że na tle takiej sytuacji, że wśród takich, prawie nie do zniesienia dla nas warunków, mogły zrodzić się tajne organizacje i sabotaże, a specjalnie, gdy wziąć pod uwagę również zewnętrzne podburzania, które, rzecz zrozumiała, zawsze łatwo przyjmują się w takiej atmosferze. Społeczeństwo ukraińskie nie zareagowało jak należy, a to dlatego, że jedni bali się terroru, a ogół nie miał i nie może mieć wpływu na te organizacje, bo one są tajne; inni zaś zachowywali się biernie, bo widzieli i odczuwali swój opłakany i gorżki los w państwie polskiem. Nasze położenie — to powolne duszenie i odbieranie powietrza, tak koniecznego dla oddychania i życia.

Nie! My nie heloci, my mamy prawo do traktowania nas jak wolnych obywateli w państwie konstytucyjnem. My nie przybłędy, bo wrośliśmy tutaj od stuleci i mamy prawo korzystać ze wszystkich dóbr ziemi, na której żyjemy. My nie stado „kabanów", ale ludzie, stworzeni na podobieństwo Boskie. My też mamy poczucie swej godności. My nie „dzicz hajdamacka", a nasze dążenia do swego własnego życia i kulturalnego rozwoju, to nie „rozpętany bandytyzm". Mamy przyrodzone prawo do życia i nie można od nas wymagać, ażebyśmy całowali rękę, która nas bije. Nawet rozbójnika nie zawsze można zupełnie potępiać, bo upadły rozbójnik też może mieć w so-

bie coś ludzkiego i nieraz może w nim odezwać się przytłumione i zgwałcone uczucie szlachetności, które nieraz ciężko znaleźć u ludzi czołowych, na wysokich stanowiskach i z gładkiemi formami w obejściu towarzyskiem. Kiedy sponiewieraną i zhańbioną Prawdę do krzyża przybito, kiedy biegli w piśmie i nauce ludzie na wysokich stanowiskach w społeczeństwie żydowskiem i wszystka jego inteligencja ze złością szydziła i wyśmiewała Zbawiciela świata, umierającego wśród straszliwych męk na krzyżu, kiedy uwiedziony i oszukany tysięczny tłum ludzi podnosił zaciśnięte pięści z pogróżkami do wiszącego na krzyżu Mesjasza, wtenczas miał odwagę stanąć publicznie w obronie Prawdy ukrzyżowanej i przez wszystkich opuszczonej nie kto inny, jak właśnie tylko bandyta i rozbójnik, który głośno zawołał: „Ten nijakiego zła nie uczynił!“ (Łuk. XXIII, 41).

Dlatego też niech czynniki miarodajne państwa polskiego, niech społeczeństwo polskie również zreflektują się i niech widzą winę nie tylko po naszej, ale również i po swojej stronie. Niech nie uważają nas wyłącznie za „dzicz hajdamacką“, a przejawy życia naszego za „rozpętany bandytyzm“, ale niech zwrócą uwagę również na siebie, gdzie też nie wszystko jest ideałem. Wyłącznem osądzeniem narodu ukraińskiego nie pozyska go sobie państwo polskie, „pacyfikacjami“ nie uspokoi go, a dla siebie również korzyści nie uzyska. Właśnie owa „pacyfikacja“, przeprowadzona w roku zeszłym, ze wszystkiemi jej metodami, nie była w interesie państwa polskiego. Państwo polskie zraziło sobie naród ukraiński, wywołało w nim żal, gorycz i ból. Trzeba dużo lat i wielkiego pozytywnego zaznaczenia dobrej woli ze strony państwa polskiego, ażeby naród ten mógł pozbyć się żalu i goryczy, która ukrywa się w jego sercu. Tej sprawy nie wolno lekceważyć, a każdy realny polityk musi się z nią liczyć. Państwo polskie nie takie już skonsolidowane i silnie zabezpieczone, ażeby mogło lekceważyć naród, chociażby będący w mniejszości. Nieraz ma-

łe i nieznaczne przyczyny albo okoliczności rozstrzygają o wyniku i losie wielkich spraw. Turysta, który wychodzi na strome i wysokie góry, nieraz korzonkowi małego krzaka zawdzięcza uratowanie swego życia, bo gdyby tego korzonka nie było, nie miałby on na czem zatrzymać się przed osunięciem się w przepaść. Kamień, na który budownicy nie zwracają uwagi, może stać się węgielnym kamieniem całej budowy. „Kamień, na który nie zwrócili uwagi budownicy, stał się węgielnym kamieniem" (Ps. CXVII, 22). Opatrzność Boska zakryła przed nami przyszłość i nie wiemy, jakie zadania i jaką rolę odegrać ma ten lub inny naród. Wiemy tylko, że dotychczasowa historja splotła losy jednego narodu z drugim, chociaż ta łączność dla narodu ukraińskiego stała się raczej jego tragizmem.

A może polscy mężowie stanu i polskie społeczeństwo myślą, że uda się im nas asymilować, zniszczyć i w ten sposób uwolnić się od kłopotu z nami? Uważam, że nie łatwa jest to sprawa w czasach narodowego uświadomienia. A już nigdy nie załatwi się tej sprawy gnębieniem i prześladowaniem, bo to właśnie wywołuje wprost przeciwny skutek. Zresztą, chociażby nawet udało się nas zgnębić lub zdeprawować i uniemożliwić nasz rozwój, to utworzyłaby się w organiźmie polskim jątrząca rana i zatruwająca gangrena. Podobnie wyraził się jeden polski działacz-endek, który, będąc ministrem, podczas jednego spotkania ze mną w rozmowie powiedział, że Polacy, jako silniejsi, mogliby połknąć Ukraińców, ale to byłoby niestrawnem dla ich żołądka. Od siebie dodam, że nietylko niestrawne, ale wywołałoby chorobę, która może wywołać katastrofę. Źródło zabite i zatamowane albo rozsadza skałę, albo wytwarza trzęsawisko i bagno.

Czy Polacy zreflektują się i zastosują do narodu ukraińskiego metodę objektywnej sprawiedliwości i życzliwości, czy dalej będą stosować dotychczasowy system — sami biorą na siebie odpowiedzialność. Do nas należy dbać sa-

mym o siebie. Musimy głównie i to przedewszystkiem, dołożyć wszystkich sił, ażeby naród nasz był duchowo silny i skonsolidowany, ażeby praca jego była pozytywna w ten sposób, aby nawet przy największem gnębieniu i niewoli mógł zachować swą twórczą siłę. *Wiadomą jest prawda, że naród nigdy nie pada od postronnego przeciwnika, ale sam przez siebie.* Naród może być gnębiony stuleciami przez cudze państwo, może być prześladowanym, ale jeżeli tylko duchowo jest zdrowy i zachowuje wewnętrzną siłę twórczą, to przetrwa wszelkie klęski i przy pomyślnej sposobności może zupełnie odżyć i rozwijać się, podobnie, jak ziemia, zimą przydławiona śniegiem i lodem, znowu odżywa i rodzi, gdy tylko wiosną lody spłyną i śniegi stopnieją. Naród zaś nieskonsolidowany i zatruty rozkładem duchowym sam przez się upada i staje się nawozem dla innych narodów, albo jeżeli nawet i osiągnie swoją niepodległość— rozpada się.

Trzy czynniki stanowią potęgę i odgrywają wielką rolę w życiu i rozwoju narodu, a mianowicie: siła militarna, finansowa i duchowa. Z tych trzech czynników najważniejszą jest siła duchowa i bez niej oba inne czynniki nie mogą spełnić swego zadania. My nie posiadamy siły militarnej i finansowej, ale za to siłę duchową możemy i musimy osiągnąć. Dlatego chociażby dotychczasowy nasz los był dla nas niewiedzieć jak nieszczęśliwy, nigdy nie powinniśmy jednak opuszczać rąk i poddawać się rozpaczy.

Wszyscy wedle sił swych musimy zabrać się do duchowej odbudowy naszego narodu. Przedewszystkiem musimy dbać o to, ażeby wszystkiemi naszemi poczynaniami na wszystkich polach naszego życia kierowały zasady nadprzyrodzonej wiary i etyki, bo tylko na nich i wyłącznie na nich wyrabiają się pozytywne, korzystne i trwałe zasady i normy całego życia ludzkiego, a tem samem całego prawdziwie kulturalnego rozwoju każdego narodu.

Musimy mieć koniecznie mądrych, rozważnych i do-

świadczonych mężów, którzy prowadziliby mądrą i korzystną politykę naszego narodu. To jest właściwie nasza największa rana, że nigdy nie mieliśmy mądrych i rozważnych polityków, którzyby prowadzili nawę politycznego życia naszego narodu. Byli u nas i dotychczas jeszcze są tacy, którzy lekkomyślnie i prawie aż do szaleństwa krzyczą: „Wszystko, albo nic!“ Ustawiczna negacja, niemądra i uparta opozycja, nie mająca za sobą żadnego oparcia, zapędziła naród w ślepą ulicę, a właściwie w przepaść. Byli znowu tacy, co to prowadzili politykę serwilistyczną, za misę soczewicy, za posady i korzyści osobiste. Byli wprawdzie i tacy, którzy mieli czyste ręce i dobrą chęć, ale nie mieli rozwagi, powodowali się uczuciem, nastrojem chwili i popełniali błędy z nieobliczalnemi, gorżkiemi konsekwencjami.

Brak mądrej, uczciwej i rozważnej polityki zawsze niszczył jednym zamachem cały nasz dorobek narodowy, nieraz ciężko zdobyty. Prawdziwa polityka — to nie szerokie usta i silne gardło dla demagogicznego krzyku, ani też prędkie nogi dla agitacji.

Prawdziwa polityka jest wielką mądrością, wszechstronną i mądrą orjentacją, panowaniem rozumu i rozwagi. Prawdziwa polityka, to nie osobisty interes, ale sprawa ogólnego dobra. Dlatego mądra jest zasada, o której słyszałem, że tylko głupcy bawią się w politykowanie, a mędrcy tworzą politykę.

Może ktoś zwalczać moje zdanie o naszej polityce, może ktoś usprawiedliwiać niepowodzenia polityki ukraińskiej np. winą ukraińskiego społeczeństwa, ale jedno musi mi przyznać, że u nas nigdy nie było polityków i polityki, która odpowiadałaby w zupełności ideologji katolickiej. Bardzo często politycy nasi prowa-

dzą sprawy narodowe z krzywdą, a nawet z lekceważeniem wiary i etyki katolickiej. U nas nie było i niema pod tym względem refleksji i przystosowania. Niech to będzie ktobądź i jakikolwiek, aby tylko „pomagał", bez względu i różnicy, czy będą z tego dobre czy złe następstwa dla wiary i etyki! „Przez Boga lub djabła zapomniana Ukraina" — powiedział za czasów władzy ukraińskiej minister wojny podczas jednego z posiedzeń Nacjonalnej Rady w Stanisławowie. I słowa te trafnie charakteryzują naszą politykę w jej odniesieniu do wiary i religji. To znaczy, że dla wielu polityków naszych obojętne były sposoby — etyczne czy nieetyczne — kiedy tylko zdawało się im, że prowadzą do celu. Tymczasem nie wszystko jedno, czy Bóg, czy djabeł pomaga Ukrainie. Napróżne wszelkie strzeżenie i czuwanie nad państwem, kiedy go nie strzeże i nie czuwa nad niem Bóg. „Kiedy Bóg nie chroni państwa, napróżno czuwa ten, który strzeże" — rzecze Duch Św. (Ps. CXXVI, 1). Nie wszystko jedno, czy szanujemy i wykonujemy prawa Boże, czy też idziemy za dyktandem djabła. I dlatego na innem miejscu mówi Duch św., że „szczęśliwy ten naród, którego Panem jest Bóg". (Ps. XXXII, 12).

Dlatego trzeba nam mężów, którzyby prowadzili politykę naszego narodu, trzymając się bezwzględnie zasad wiary katolickiej i etyki, którzyby stali na gruncie Kościoła katolickiego tak, aby działalność ich odpowiadała ściśle ideologji katolickiej. Mają być w zupełności Ukraińcami, ale stać ściśle na gruncie katolickim. Mają być katolikami nietylko w życiu prywatnem, ale również i w publicznej pracy. Przyznawać się publicznie do katolicyzmu u nas wprawdzie nie jest w modzie, kto jednak chce być prawdziwym katolikiem, ten niech nie wstydzi się publicznie tego zaznaczyć całem swem zachowaniem się.

Następnie, rozsądna i realna polityka wymaga, ażeby zaznaczyć również pełną lojalność względem państwa, w którem się teraz znajdujemy. Przedstawiam sobie, jak

Ukraińcy, czytając to, zrobią wielkie oczy i zapytają ze zdziwieniem: „Jak to możliwe, ażeby wśród tych nie do zniesienia okoliczności, wśród których znajduje się naród ukraiński, okazywać dla tego państwa i jeszcze akcentować lojalność i to pełną?". Tak! Nietylko jest to możliwe, ale i konieczne i dla nas korzystne. Podkreślam jeszcze raz krótko to, co powiedziałem: nie Rada Ambasadorów, ale Opatrzność Boska postawiła nas, jako cząstkę narodu ukraińskiego, pod władzę narodu polskiego i temu zarządzeniu musimy się podporządkować. Dlaczego tak Opatrzność Boska zarządziła lub dopuściła, nie śmiemy Boga pytać i pociągać Go do odpowiedzialności. Możemy tylko domyślać się przyczyn, np. dla naszego opamiętania i podźwignięcia, dla ukarania nas — ale domagać się od Boga usprawiedliwienia, byłoby wielkiem zuchwalstwem. Dla nas niech wystarcza, że wszelkie zarządzenie lub dopuszczenie Boże jest najmądrzejsze, najświętsze, a dla nas najkorzystniejsze.

Oprócz tego rozum praktyczny mówi nam, że stojąc na gruncie pełnej lojalności, mamy tem samem prawo domagać się od państwa należnych nam i koniecznych praw do prawdziwego naszego kulturalnego rozwoju, skłonić je do spełnienia obowiązków i zobowiązań względem nas. Chociażby państwo nas gnębiło i prześladowało, to mimo to zawsze i wszędzie mamy zaznaczać naszą lojalność — jednak nie niewolniczo i po owczemu, ale podnosząc jednocześnie głośny sprzeciw: za co mnie bijesz? Bo właśnie wtenczas nasz głos protestu będzie uzasadniony, a państwu odbierze się wszelkie argumenty do usprawiedliwiania się. Rozwaga nakazuje, ażeby nie dać się sprowokować. Wyjść z równowagi jest oznaką słabości ducha, a organom państwowym dajemy wtenczas przyczynę do tem większego i silniejszego uderzenia na nas. Silniejszy nieraz tylko czeka na to, ażeby słabszy przeciwnik wyszedł z równowagi i uchybił, bo wtenczas ma sposobność i przyczynę tem silniej na niego napaść i uderzyć.

Stanowczo dochodzić swego prawa, odważnie bronić się — jest naszym obowiązkiem, ale sposobem legalnym, zachowując pełną lojalność, rozwagę i równowagę ducha. Lojalność dla państwa całkiem nie przeszkadza nawet zwalczać rządowe czynniki, kiedy one, nadużywając swego stanowiska, łamią sprawiedliwość, albo wrogo występują przeciw Kościołowi, wierze i religji.

Pójdę jeszcze dalej i ku ździwieniu może samych Polaków, a jeszcze większemu oburzeniu Ukraińców, powiem, że nasza lojalność ma dążyć do tego, ażeby państwo polskie było silne i zabezpieczone, ale jednocześnie sprawiedliwe, co jest conditio sine qua non. A dlaczego? Bo tego wymaga interes i dobro narodu ukraińskiego. Kiedy państwo silne, w dobrobycie, a przytem sprawiedliwe, wtenczas każdy naród czuje się w niem dobrze, ma wszystkie warunki do rozwoju życiowego i przygotować się może do swego własnego państwa, gdy na to pozwolą warunki polityczne.

Przedstawmy sobie, że pewnego dnia Polacy, znienawidzeni przez Ukraińców, odwracają się od nas i zostawiają nas samych. I cóż wtenczas dzieje się z nami? Za parę godzin przychodzą z za Zbrucza chmurą bolszewicy, którzy zamykają nasze cerkwie, przemieniają je na domy zabawy albo rozpusty, duchowieństwo i inteligencję częściowo rozstrzeliwują, częściowo wysyłają na wyspy Sołowieckie, a sam naród gnębią, zabijają w nim wszystko, co jest ludzkiego i robią z niego coś gorszego od bydła. A co do włościan, tego fundamentu naszego narodu, to bolszewicy zaprowadziliby pańszczyznę państwową: odebraliby rolę włościanom, którzy mieliby ją uprawiać jak najemnicy państwowi i to państwo wydzielałoby im z płodów pracy ich „pajki“ głodowe, jak robią to teraz bolszewicy na Wielkiej Ukrainie. A jeśliby nie przyszli do nas bolszewicy, to zajęłoby nas inne państwo. Wątpię bardzo, czy los nasz byłby wtenczas lepszy.

Tak czy owak, znaleźlibyśmy się w obcem państwie, bo sami nie moglibyśmy utworzyć tak silnego państwa, któreby mogło odeprzeć najazd tego albo innego sąsiada. Nie mamy odpowiednich mężów stanu, ani odpowiedniego, kompletnego aparatu państwowego. Dlatego dobrze powinni zastanowić się ci, którzy stoją na stanowisku negacji i w fantazji budują państwo ukraińskie! Utworzyć państwo bardzo trudno, ale jeszcze trudniej niem władać. Widzieliśmy to, kiedy była sposobność do osiągnięcia własnego państwa ukraińskiego. Myśmy jednak nie byli na to przygotowani i dlatego, mimo tylumiljonowego narodu ukraińskiego, nasze państwo upadło, podczas gdy inne narody, chociaż małe, zdobyły sobie władzę suwerenną.

Patrzmy na Polaków. Mieli oni wytrawnych i utalentowanych mężów w zagranicznej i wewnętrznej polityce, jak również na innych polach państwowych, a przecież, kiedy powstało państwo polskie, ileż tutaj wynikło trudności, jakie jeszcze dzisiaj wstrząsają niem elementy destruktywne, jakie jeszcze dzisiaj odbywają się niepewne eksperymenty, jak sekciarstwo toczy jego organizm, a partyjne tarcia powiększają zamęt, zamieszanie i ferment.

A cóż mówić o nas?! Do budowy państwa nie wystarczają ręce, ażeby brały, ani kieszenie, któreby chowały, ani też szerokie usta, któreby krzyczały, ale trzeba mądrych i rozważnych umysłów, czystych rąk i szlachetnych dusz.

Wizytator Apostolski, ś. p. Genocchi, który bywał w świecie i przyglądał się życiu niejednego narodu, wizytując naszą prowincję kościelną w 1923 r., prędko zorjentował się co do nas i w rozmowie ze mną, w zaufaniu, powiedział wtedy coś, co dopiero po jego śmierci mogę publicznie powiedzieć, a mianowicie: „Ucraini nondum sunt maturi ad regendum“. A był to człowiek dla nas przychylnie usposobiony, chociaż prasa nasza zrobiła mu niejeden nieusprawiedliwiony zarzut i krzywdę. Nie bądźmyż naiwnymi, jak ta gospodyni, któ-

ra niosła mleko w dzbanku do miasta i po drodze fantazjowała, jak to ona za pieniądze, uzyskane ze sprzedaży mleka, dorobi się swego domu i zbudowawszy tak w mrzonkach dom, aż podskoczyła z radości. I w tej chwili mleko wylało się z dzbanka, a dom z fantazji zniknął, jak bańka mydlana.

Otóż zapytają Ukraińcy: mamyż pozbyć się idei własnego niepodległego państwa i wiecznie służyć Polakom? Za nic w świecie! Naród, który zrzeka się ideału i nadziei własnego państwa, sam siebie przekreśla, nie wart więc żyć na świecie. Nie wolno nam zrzekać się ideału własnego państwa, ale również nie wolno nam budować go tylko w fantazji, bez odpowiedniego przygotowania, bez odpowiednich sił, bo byłaby to tylko śmieszna naiwność. Mądra i realna polityka nie kieruje się fantazją przyszłości, ale robi to, co nakazuje konieczność, czego można dokonać w obecnych warunkach i na co zezwalają teraźniejsze okoliczności. Przyszłość przed nami zakryta i nie od nas zależy, ale naszym obowiązkiem jest wykonać to, co nakazuje teraźniejszość. Starajmy się pracować i siły swoje skonsolidować tak, ażebyśmy byli przygotowani na tę chwilę, kiedy zegar historji wybije godzinę narodzenia państwa naszego. Biada nam, jeżeli ona zaskoczy nas nieprzygotowanymi, bo wówczas stanie się z nami jeszcze gorzej, niż to stało się przy końcu wojny światowej. Jeżeli natomiast będziemy przygotowani, a Opatrzność Boża zrządzi, ażeby było własne państwo, bądźmy pewni, że państwo nasze powstanie, chociażby nietylko Polska, ale i cały świat temu się sprzeciwiał. Czy państwo nasze będzie w związku z państwem polskiem, czy będzie niepodległe, nie naszą rzeczą jest o to się troszczyć. Nie wiemy, co przyszłość kryje w sobie. Wschód cały — to wielki sfinks. Może na zgliszczach i popiołach bolszewickich zbudzą się narody i nowe państwa, względem których Polska i Ukraina mają odegrać wybitną rolę.

Słyszę jeszcze jedno pytanie: cóż stanie się z ideą So-

bornej Ukrainy? Kwestja ta dla nas jest delikatna i jednocześnie złowroga. Ukrainę Naddnieprzańską traktujemy raczej ze strony przeczulenia i fantazji, aniżeli w jej realnych i pozytywnych formach. Chociaż wielką jest ona liczebnie, jednak nie ma jeszcze wyrobionych i skonsolidowanych sił, koniecznych do budowy państwa. Zapatrzyliśmy się w Zjednoczoną Ukrainę niby w fantom i przez to żadnej Ukrainy nie uratowaliśmy i wszystko u siebie stracili. Ratujmy wpierw siebie samych, a kiedy podźwigniemy się, wtenczas i Ukrainie pomożemy. Musimy to dobrze zrozumieć, że nasza Galicja ma być Piemontem dla Ukrainy.

Rozważywszy wszystko dotychczas powiedziane, należy przyznać, że wszystkie nasze dążenia i cała nasza polityka muszą iść inną drogą, niż dotychczas. Musimy przyznać, że trzeba nam mężów, którzyby prowadzili politykę naszego narodu realnie i pozytywnie i którzyby liczyli się z rzeczywiście koniecznemi okolicznościami. Jak już powiedziano, mają oni w pełnej miłości dla swego narodu stać na pozytywnym gruncie ideologji katolickiej, zachowując równocześnie pełną lojalność względem państwa, w którem się znajdujemy. Polityka ich nie powinna być wązka, serwilistyczna, przebiegła, sprzedażna, ale z wszechstronną orjentacją, poważna i rozważna, dla ogólnego dobra narodu, pełna godności i nawskroś honorowa. Oni mają dać początek i zrobić przełom w naszej dotychczasowej, wązkiej, zaściankowej, gwałtownej i zarozumiałej polityce. Muszą wystąpić z wyraźnym programem, zakreślić ścisłe granice i linje pracy politycznej i konsekwentnie ją realizować. Muszą być przygotowani na liczne i silne uprzedzenia, podejrzenia i przeszkody, jak to zwykle u nas bywa. Nie wolno im jednak zrażać się. Bez ofiary i cierpienia nie można osiągnąć żadnego dobrego i korzystnego celu. Niech również zrozumieją, że na to trzeba czasu, dopóki sprawa ta nie skrystalizuje się i nie nabierze siły i znaczenia. Niech będzie ich mało, niech będzie ich kilku, ale wytrwa-

łych i świadomych swego zadania, bo nie w licznej masie, ale w idei siła.

We wszystkich naszych dążeniach do podniesienia naszego narodu, a tem samem do prowadzenia mądrej, korzystnej i realnej polityki, powinna pomagać również prasa. Ale właśnie tutaj pokazuje się źródło całego naszego nieszczęścia. Prasa, jeszcze raz mówię: prasa, głównie zawiniła w naszym dotychczasowym nieszczęsnym losie. Ona stworzyła ten demagogiczny i destruktywny kierunek i chaotyczną anarchję wszelkiego rodzaju zwodniczych haseł. Co jeszcze gorzej, ona pod względem wiary i religji zaszczepiła w narodzie liberalizm, indeferentyzm religijny, a nawet ateizm. Cała nasza prasa świecka jest albo liberalną, albo selrobowską, t. zn. bolszewicką. Katolicka prasa u nas nie jest w modzie, nie budzi zainteresowania, ją się zwalcza.

Dotychczas nie zdobyliśmy się na codzienne katolickie pismo, chociaż jest nas 4 miljony Ukraińców-katolików, bo Ukraińców prawosławnych nie biorę tutaj w rachubę. A już wprost jest skandalem, że gdzieniegdzie nasi księża katoliccy postanawiają bojkot pisma katolickiego, jak to miało miejsce na dwóch zebraniach dziekanalnych naszej prowincji kościelnej. Jak grzyby po deszczu, rosną u nas czasopisma wszelkiego destruktywnego rodzaju i nigdzie nie słychać protestu, nigdzie niema bojkotu, a tymczasem pismo katolickie jest solą w oku i to nawet niektórym księżom katolickim. To jest ból nad bólami, to jest dowód, jak głęboko staczamy się w przepaść!

Ale tem nie trzeba zrażać się. Dobry i korzystny kierunek musi zwolna, ale konsekwentnie i solidnie torować sobie drogę, a to tem więcej, kiedy zważymy, jak wielkie jest u nas przyćmienie duchowe. Na to trzeba lat ciężkich wysiłków, trzeba samozaparcia i poświęcenia jednego, albo dwóch, a nawet trzech pokoleń. Jednak początek trzeba zrobić i fundamenty koniecznie założyć.

Z całą stanowczością zastrzegam się przeciw wszystkim podejrzeniom i posądzeniom, jakobym napisał list niniejszy jako ofertę dla Polaków. W życiu mem starałem się wedle sił moich iść prostą drogą. Popularnością w życiu mojem nie cieszyłem się, to też na starość nie myślę dbać o nią. Ubieganie się za popularnością i jej pożądanie uważam za największe niebezpieczeństwo dla Biskupa. Popularność może Biskupa zaprowadzić do cięższej niewoli, aniżeli więzienie. Może go obezwładnić i zrobić go niezdolnym do działalności i do rozpowszechniania Królestwa Bożego w duszach ludzkich. Jestem bezmiernie wdzięczny Panu Bogu, że mnie dotychczas oszczędził od zgubnej sieci popularności tego świata.

Zresztą sama treść listu mego całkiem nie nadaje się do pozyskania popularności ani wśród Polaków, ani wśród Ukraińców, chociaż chciałem objektywnie powiedzieć prawdę i jednym i drugim. Polakom, ażeby nie mieli siebie wyłącznie za uprzywilejowanych, ażeby nie traktowali narodu ukraińskiego ze złośliwem, dotkliwem i prowokującem lekceważeniem, ażeby nie zamykali mu koniecznego oddechu do życia i ażeby nie stosowali względem niego „pacyfikacji" wiadomemi metodami, bo przez gnębienie i prześladowanie nietylko nie uspokoją narodu ukraińskiego, ale jeszcze więcej go sobie zrażą. Si vis amari, ama! Szło mi o to, ażeby Polacy zrozumieli, że Ukraińcy, chociaż w mniejszości, mogą pomódz, albo zaszkodzić państwu polskiemu. Historja związała oba narody nie na to, ażeby wzajemnie się biły, nienawidziły i niszczyły, ale ażeby uzgodniły stosunki wzajemne i **spełniły wielką misję, jaka czeka oba narody na Wschodzie.**

Dla Ukraińców napisałem ten list, ażeby dać im możność wyjścia ze ślepej ulicy, w którą wciągnęła ich dotychczasowa polityka i cała ich działalność.

Wiem, że liczni między Ukraińcami narzekają na nieznośne i zaostrzone stosunki między Polakami i Ukraińcami, a jednak obawiają się z tem jawnie wystąpić. Dlatego miałem na tyle odwagi, ażeby zabrać głos w tej sprawie, ażeby ludziom dobrej woli w narodzie ukraińskim dać możność wyjścia z ich dotychczasowego biernego stanowiska, zabrać głos i otwarcie powiedzieć: Tak dalej być nie może! Z drugiej strony chciałem listem moim stępić oręż destruktywnym i nieodpowiedzialnym czynnikom, jakich lekkomyślna działalność naród ukraiński nietylko nie podźwignęła, ale powoduje mu niepowetowane szkody i prowadzi w przepaść.

Jednem słowem, chciałem tym listem moim rzucić snop światła na to zaćmienie, jakie padło na dusze Polaków i Ukraińców i dać im możność rozwiązać tę zawiłą i nieznośną sytuację. Pod tem rozwiązaniem jednak nie rozumiem znienawidzonej u nas ugodowości, albo chwilowego kompromisu, ale trwałe ułożenie stosunków, jak tego wymaga objektywna sprawiedliwość. Ukraińcy mają być zupełnie lojalnymi obywatelami państwa polskiego, a znowu państwo polskie ma w całości spełniać wszystkie ich słuszne i prawnie należne wymagania narodowe i kulturalne. I dlatego list mój nie dąży do stworzenia tylko chwilowej konjunktury politycznej, ale ma dać stałe wskazówki politycznej działalności na teraz i na zawsze, bez względu na to, czy to ma miejsce w państwie polskiem, czy też w innem lub czy mielibyśmy własne niepodległe państwo; bo przy pisaniu kierowałem się nietylko teraźniejszymi stosunkami, ale głównie i przedewszystkiem zasadami wiary, sumienia i etyki.

Również nie chciałem przez to osobiście i bezpośrednio angażować się w polityce. Stanowisko moje, jako Biskupa katolickiego, na to nie pozwala. Obowiązkiem moim jest z przysługującego mi prawa i urzędu Biskupa katolickiego stać na straży i czuwać, ażeby i w polityce zachowano zasady katolickiej wiary i etyki. Zawsze stara-

łem się stać poza polityką. Treścią całej mojej polityki jest modlitwa Pańska „Ojcze nasz!“ I właśnie treść tej modlitwy podyktowała mi odezwać się niniejszym listem, bez względu na to, czy spotka mnie uznanie, czy potępienie. Już poza brzegi przelała się obopólna nienawiść i coraz głębiej wżera się w masy. A ta wzajemna nienawiść do dobrego nie doprowadzi i jeżeli jeszcze dalej będzie się rozwijać, to musi skończyć się katastrofą dla Kościoła i narodu. W jaki sposób błędna polityka doprowadza do katastrofy nietylko naród, ale i jego Kościół, mamy dowód na Rosji. I dlatego, widząc tę groźną i straszną sytuację — nie mogłem milczeć!

Wkońcu podkreślam, że napisałem list ten dla ludzi dobrej woli, z którymi niech będzie błogosławieństwo Pana naszego, Jezusa Chrystusa, miłość Boga i Ojca i społeczność Ducha Św. Amen.

Dan w Stanisławowie, 23 n. s. lutego 1931, w pierwszy dzień postu wielkiego.

† **Grzegorz** Biskup.

Czcigodny Autor powyższego Orędzia nie potrzebuje nawet — zdaniem naszem — specjalnie zastrzegać się wobec czytelników, że nie jest ono ofertą pod adresem Polaków. Dosyć bowiem mocno i twardo stawia sprawę na obie strony i niejedną gorżką zawiera dla nas, Polaków, pigułkę, aby ktokolwiek mógł nazwać List taki ofertą! Lekceważenie popularności, o którem wspomina Ks. Biskup, jest z całej treści i tonu Listu tak widoczne, wysunięte tezy i wnioski tak lapidarne, że nawet zacięty krytyk tego Orędzia przyznać musi, przynajmniej w duchu, że głównem jego dążeniem jest dotarcie do prawdy i wypowiedzenie prawdy, zarówno politycznej, jak i moralnej. I w tem właśnie leży najgłębszy walor tego Listu, że prawdę polityczną i moralną stapia ze sobą, wykazując tym wszystkim, do

których się odnosi, że *niemasz prawdziwych, trwałych korzyści politycznych dla państwa i narodu, które nie byłyby zgodne z prawdą moralną, z Prawdą nadprzyrodzoną.* Niepodobna też oprzeć się urokowi wysokiego poziomu i wielkiego objektywizmu, bijącego ze słów Pasterskich nawet w tych ustępach, które traktują bezpośrednio o aktualnej sytuacji politycznej.

Przejdźmy kolejno.

„Liczni nieprzyjaciele narodu naszego zginęli i przeminęli, ale ten jeden wróg jego — anarchja — zawsze zostawał“. Czy tylko do Ukraińców można zastosować te słowa? Czy nie odezwą się one i w polskich duszach żywym wyrzutem, chociaż nie do nas w tym wypadku są skierowane?

„Do głosu przyszli demagodzy, wzięły górę elementy destruktywne, które, chociaż jeszcze państwo własne nie było zbudowane, już wypowiedziały wojnę Bogu“. Zaprawdę, gdybyśmy to zdanie przeczytali nie w Liście Pasterskim, o którym mowa, ale gdzieś oderwane, to z absolutną pewnością każdy Polak byłby przekonany, że mowa o początkach Polski odrodzonej! Bo czyż pierwsi budowniczowie ustroju naszej zmartwychwstałej ojczyzny, zaledwie pęta z niej opadły, nie pospieszyli się przedewszystkiem z wypowiedzeniem wojny Bogu, usiłując Go zastąpić rozwydrzoną t. zw. wolą ludu? Czyż dzisiaj jeszcze, gdy ciężkie ciosy społeczne i gospodarcze znowu nas do Boga nawracają, nie słyszymy jeszcze z ust np. poważnych przedstawicieli życia gospodarczego takich pytań naiwnych, tchnących krótkowzrocznym materjalizmem: „Nie rozumiem dlaczego Nasza Przyszłość miesza w swoich artykułach ekonomicznych kwestje kryzysu gospodarczego z kwestjami moralnemi? Przecież realne zagadnienia gospodarcze nie mają nic wspólnego z jakimiś tam wyższymi pierwiastkami!“

Naiwni! Nie rozumieją, jak ścisłym jest zwiazek mię-

dzy ustawodawstwem antygospodarczem, na które co dzień się uskarżają, a ateizmem! I taki sam związek, głęboki, realny i aż nadto namacalny istnieje między religją a polityką. Bo ustrój polityczny i gospodarczy nie mogą być „przez Boga lub djabła zapomniane", to znaczy za wszelką cenę dla celów demagogicznych i płaskich instynktów klecone — jak to ks. Biskup Chomyszyn zarzuca nacjonalistycznej demagogji ukraińskiej.

„Tylko ślepy nie widzi, że dla budowy państwa konieczne są uczynki pozytywne, a nie negatywne". O tej prawdzie, tak oczywistej, a tak jednak w praktyce lekceważonej, pamiętać winna nietylko radykalna demokracja ukraińska, ale i polska, które z odmiennych pobudek, ale z tym samym skutkiem, uprawiają od szeregu lat samobójczą taktykę negacji wobec wszelkiej pozytywnej pracy państwowej.

I stąd też wyłania się z ewolucji stosunków — rzec można: organicznie — wniosek, że to, co dla normowania się współżycia polsko - ukraińskiego z jednej, a dla naprawy ustroju państwa z drugiej strony koniecznie jest potrzebnem, to jest przedewszystkiem umiarkowana, pozytywna, twórcza myśl polityczna, reprezentowana przez nowoczesną ideologję zachowawczą. Na tej bowiem platformie, spokojnej, krytycznej, na zimno objektywnej, dadzą się najlepiej rozwiązać wszelakie problemy państwowe i mniejszościowe — oczywiście tylko nie dla tych, którzy w zagmatwaniu i zaostrzeniu tych problemów widzą swą karjerę polityczną.

A dalej przychodzi zdanie, kulminujące z całego Listu dla sprawy ukraińskiej. Pyta ks. Biskup, dlaczego Ukraińcy nie byli w stanie wytworzyć własnego państwa, mimo różnych okazji — i odpowiada: „Bo nie byliśmy pozytywnie przygotowani". I wyjaśnia dalej, że gdyby nawet przypuścić na chwilę, iż państwo ukraińskie powstać może systemem gwałtów i sabotaży, to system ten przejdzie w to nowe państwo siłą przyzwyczajenia i na pewno je rozwali.

Nazwaliśmy powyższe twierdzenie kulminacyjnem z tego względu, że trafia ono nietylko swem brzmieniem, ale i dalszymi wnioskami, jakie z niego historyk i polityk może wysunąć, w samo sedno tragedji ukraińskiego narodu. Chcieć państwa i nawet zbrojną ręką o nie walczyć, to stanowczo nie wystarcza. Trzeba być nadto odpowiednio przygotowanym do utrzymania tego pożądanego państwa, trzeba być przedewszystkiem „społecznie pełnym narodem".

„Nasza Przyszłość" twierdziła już dawno, że zbiegiem warunków historycznych Ukraińcy w Małopolsce Wschodniej — ogółem biorąc — nie są jeszcze takim „społecznie pełnym" narodem, gdyż opierali się dotąd niemal wyłącznie na radykalnej demokracji wszelkiego rodzaju, a natomiast element umiarkowany, powiedzmy wprost: zachowawczy, zdolny do pozytywnej budowy, tak był nieznaczny, tak przez zradykalizowane masy i jeszcze bardziej zradykalizowaną inteligencję sterroryzowany, że nie uwidaczniał się prawie zupełnie w życiu tego narodu. W rezultacie widzieliśmy dotąd w tem społeczeństwie patrjotyzm w postaci strejków, bomb, rewolwerów, sabotaży i dzikiej, nieokiełznanej nienawiści, nieszczędzącej i własnych rozumniejszych ludzi — a nie widzieliśmy prawie zupełnie patrjotyzmu twórczego, który jest zawsze i wszędzie nieodzowną podstawą egzystencji każdego narodu i państwa. Zdawało się szerokim sferom inteligencji ukraińskiej, że naśladując wiernie wzory różnobarwnej, bezmyślnej demagogji i społecznego radykalizmu ze wschodu i zachodu, osiągnie najłatwiej niezależny byt państwowy, a przynajmniej zmusi rządy polskie do ustępstw, a Ligę Narodów do szczególnej nad sobą opieki!!

I dlatego właśnie są Ukraińcy dotąd nietylko do uzyskania własnej państwowości, ale nawet do normalnego rozwoju narodowego i kulturalnego w granicach państwa polskiego stanowczo „nieprzygotowani", a dozwalając się reprezentować nazewnątrz w ogromnej większości przez za-

sady bezkrytycznego radykalizmu lub szowinizmu, dyskredytują się tylko wobec zagranicy, a polskim szowinistom dają ciągłą podnietę do ataków na wszystko, co ukraińskie i do kierowania sympatji... ku Rosji!

Nie — tym systemem państwa i wogóle lepszego bytu narodowego nietylko się nie zbuduje, ale nawet nie „przygotuje“. Twierdzimy stanowczo, że naród, który — zwłaszcza w dzisiejszych warunkach — nie jest społecznie uzupełniony silnym, twórczym elementem zachowawczym, nie jest zdolnym nietylko do wytworzenia własnej państwowości, ale nawet do myślenia o niej w sposób realny. Bo radykalizm służy zawsze tylko do takiej czy innej zmiany istniejącego państwowego ustroju, ale nie było wypadku, żeby mógł s t w o r z y ć państwo.

„Postronne państwo, wrogo usposobione do Polski, może naumyślnie podtrzymywać nasze niezadowolenie i krzyczeć na całe gardło o naszych krzywdach, ale robi to we własnym interesie, bo kto wie, w jaki sposób dałoby ono odczuć nam pięść swoją, gdybyśmy znaleźli się pod jego władzą!“

Znowu wielka prawda i z wielką odwagą wypowiedziana, a piętnująca wielką pomyłkę nietylko polityki, ale i całego dotychczasowego nastawienia ogromnej większości inteligencji ukraińskiej na Rusi Czerwonej. Bo Ukraińcy wciąż jeszcze wierzą, że państwa postronne nie mają — zwłaszcza w dzisiejszych ciężkich czasach — nic lepszego do roboty, jak kruszyć kopje o powstanie jeszcze jednego państewka, w dodatku społecznie radykalnego, któreby już i tak nazbyt pstrą szachownicę środkowej Europy jeszcze bardziej skomplikowało! Minęły czasy wypraw krzyżowych i z pewnością nikt nie wyciągnie na serjo oręża z pochwy dla ukraińskiego ideału! Natomiast słowa ks. Biskupa zbliżają się do naszej, dawno już wypowiedzianej tezy, że Polska, mimo wszelkich swych wewnętrznych niedomagań, jest istotnie jedynem państwem na świecie, w którego interesie z różnych względów leży zrobić coś pozy-

tywnego dla sprawy ukraińskiej, a w pierwszym rzędzie dla własnej ukraińskiej mniejszości narodowej. A jeżeli List Pasterski wspomina na innem miejscu o Rusi Czerwonej, jako o piemoncie ukraińskim, to wyraża w tem tylko najgłębszą i najrealniejszą rację stanu zarówno dla aspiracji ukraińskich, jak i — naszem zdaniem — dla Polski. A zarazem, pośrednio, obala ten sąd także ulubione przez radykałów ukraińskich porównywanie polskiego panowania na Rusi Czerwonej z uciskiem, jakiego doznali Polacy pod rosyjskim i pruskim zaborem. No, nie życzymy Ukraińcom galicyjskim, którzy tak myślą, doświadczeń pruskiego czy rosyjskiego reżimu!

„Wiadomą jest prawda, że naród nigdy nie pada od postronnego przeciwnika, ale sam przez siebie... To jest właściwie nasza największa rana, że nigdy nie mieliśmy mądrych i rozważnych polityków...“

Oba te twierdzenia zawierają pozytywną wskazówkę dla społeczeństwa ukraińskiego w Małopolsce wschodniej. Usunąć anarchję radykalną i wyszkolić rozumnych, realnie myślących polityków — oto program konkretny, najbardziej piekący dla naszych Ukraińców. I w tym programie wszyscy rozumnie myślący Polacy — wolni od partyjnego szału — dopomóc im mogą i powinni. O to właśnie głównie chodzi. „Prawdziwa polityka — to nie szerokie usta i silne gardło dla demagogicznego krzyku, ani też prędkie nogi dla agitacji... tylko głupcy bawią się w politykowanie, a mędrcy tworzą politykę“.

Oboma rękami podpisujemy to twierdzenie, bardzo stosowne i bardzo na czasie nietylko dla Ukraińców, ale i dla Polaków. Wszak „Nasza Przyszłość“ od pierwszej chwili swego istnienia zwalcza, jako bezużyteczne, owo „politykowanie“, owo nadmierne aferowanie się zmiennemi, jak wiatr, konjunkturami politycznemi z dziś na jutro, a wzywa natomiast do programowej pracy politycznej z perspektywą na dłuższą metę. Niestety, nazbyt wiele mamy w państwie naszem „polityki“, a zbyt mało „pracy

politycznej". A to drugie jest czemś całkiem odmiennem od pierwszego. Politykowanie z dnia na dzień powoduje tylko płynność stosunków, pogłębia kryzys i utrudnia wszelką racjonalną myśl naprawy, której właśnie tylko systematyczna praca polityczna byłaby w stanie podołać.

„Nasza lojalność ma dążyć do tego, ażeby państwo polskie było silne i zabezpieczone, ale jednocześnie sprawiedliwe". Głęboka to myśl, oczywiście sprzeczna z tuzinkowym ukraińskim szowinizmem, że im państwo polskie będzie silniejsze i im bardziej także Ukraińcy małopolscy do tego się przyczynią, tem lepiej będzie i dla ukraińskich ideałów. Podnosi tu ks. Biskup rolę elementu ukraińskiego w Polsce bardzo wysoko, ale właśnie dlatego, że opiera się na bardzo prostej zasadzie: stań się państwu pożytecznym i potrzebnym, a wówczas zniewolisz państwo do tem większej ochrony twych interesów!

Ale przytem i żądanie sprawiedliwości ze strony rządu i społeczeństwa polskiego! Żądanie słuszne, które przyjmujemy bez zastrzeżeń. Iustitia est fundamentum regnorum. Polska nie da się zastraszyć radykalizmem Ukraińców, ani ich petycjami do Ligi Narodów, ani knowaniami z zagranicą. Winnym wymierzy sprawiedliwość, bez względu na przynależność narodową czy partyjną. Jeżeli karzemy surowo polskich wywrotowców i szpiegów, to dlaczego mielibyśmy oszczędzać i uprzywilejować ukraińskich? Ale z drugiej strony, nie wolno nam się zrażać czy denerwować wybrykami ukraińskiej radykalnej demokracji lub niedojrzałymi objawami pewnych grup czy stronnictw ukraińskich. Polska musi wznieść się ponad te chwilowe flukta i nastroje i rozwiązać problem ukraiński w swych granicach w sposób nietylko sprawiedliwy, ale i życzliwy. Wyższa myśli polityczna właśnie na tem polega, żeby z przeciwników kształcić sobie zwolenników i w żadnej przygodzie — nie dać się nerwom ponosić!

Nie odrazu zwyciężyła ta myśl w naszem społeczeństwie i w różnych naszych rządach w Polsce odrodzonej.

Ale obecnie zrozumienie dla konieczności sprawiedliwego i życzliwego załatwienia sprawy coraz bardziej bierze górę w rozumniejszych sferach społeczeństwa polskiego. A chociaż droga jest ciernista, to jednak zwiększają się z dnia na dzień w Polsce zastępy ludzi, którzy to jedno przynajmniej rozumieją, że jeżeli żąda się od Ukraińców lojalności państwowej, to bezwarunkowo trzeba im tak warunki bytu ukształtować, a b y i m d o b r z e b y ł o w p a ń s t w i e. A takie ukształtowanie stosunków zależy w znacznej mierze od tego, aby spokojni, umiarkowani, rozsądni ludzie z obu stron ręce sobie podali i to nie dla jałowych „pertraktacji", które do niczego doprowadzić nie mogą, ale do pozytywnej, organicznej współpracy nad pozytywnem rozwiązywaniem konkretnych zagadnień. Co zaś obecny rząd polski myśli w tej sprawie, o tem świadczy najlepiej wybitny ustęp z odpowiedzi ministra spraw wewnętrznych, Pierackiego, danej posłowi Lewickiemu w sejmie dnia 8 lutego:

„Ani państwo, ani jakikolwiek rząd nie może zawierać umów z poszczególnymi obywatelami, albo ich ugrupowaniami. Zasada ta nie przeczy jednak ani istnieniu narodowości ukraińskiej, ani możliwościom jej rozwoju w ramach Rzplitej. Mimo, iż panowie twierdzicie, że nie chcecie na tej płaszczyźnie kooperować z rządem, oświadczam, iż rząd nie zejdzie ze stanowiska deklaracji mojej z dnia 16 stycznia, bez względu na to, czy będzie się to podobało poszczególnym reprezentacjom politycznym, czy nie. Zgodne współżycie narodów, zamieszkujących Małopolskę wschodnią, jest tak nieodzownym warunkiem pomyślnego rozwoju tej dzielnicy, że r z ą d w k o n s e k w e n t n e m w y k o n y w a n i u s w y c h z a m i e r z e ń p r z e j d z i e p o n a d g ł o w a m i p o l i t y k ó w i z n a j d z i e b e z p o ś r e d n i ą d r o g ę d o p o r o z u m i e n i a s i ę z l u d n o ś c i ą. Jestem przekonany, że społeczeństwo ukraińskie tę intencję rządu rozumie, co więcej, jestem pewny, że i dziś większość ludu ukraińskie-

go pragnie żyć i pracować w spokoju. Jeśli rząd przeciwstawia się i przeciwstawiać będzie jaknajbardziej stanowczo wszelkim próbom zadrażnienia stosunków, jeśli będzie karał takie próby tam, gdzie przybierają one charakter gwałtów lub nawet skrytobójstwa, to działać będzie w interesie i w myśl prawdziwych życzeń olbrzymiej większości ludności Małopolski wschodniej, zarówno polskiej, jak i ukraińskiej.

„Może dlatego właśnie rząd jest atakowany z dwuch stron przez oba nacjonalizmy, ściśle mówiąc: szowinizmy, zarówno ukraiński, jak i polski. Nietylko p. Lewicki był niezadowolony z polityki rządu. Przedstawiciel Klubu Narodowego, p. Berezowski, również. Rzecz prosta, że dla każdego ugrupowania politycznego, które część czy całość swych wpływów w społeczeństwie czerpie z zadrażnień narodowościowych, polityka rządu, przeciwstawiająca się konfliktom, musi być niewygodna, a tem samem musi być zwalczana.

„Przemówienie p. Berezowskiego odbiega nieco od szablonu mów opozycyjnych. Jest tam coś więcej, niż tylko krytyka postępowania rządu. Jest w niem zdanie: „Stoimy i stać będziemy na stanowisku, że bez względu na to, jakiego pochodzenia, wiary, wyznania, jest dany obywatel — skoro jest obywatelem polskim, musi się cieszyć takiemi samemi prawami, co my, Polacy“. Podzielam w całej rozciągłości ten pogląd. P. Berezowski, wygłaszając zdanie powyższe, potępił tem samem i to bardzo stanowczo, linję polityczną swego klubu, zarysowaną np. podczas ostatnich zajść akademickich na wyższych uczelniach. Jednak przemówienie p. Berezowskiego oscylowało nieustannie między racją stanu a filozofją nacjonalizmu rasowego. Weźmy dla przykładu wywód, prowadzący do wykazania, że Polska musi być „państwem narodowem“. Co to ma znaczyć? Czy to, że Rzeczpospolita zmartwychwstała przez świadomy i ofiarny wysiłek wielu pokoleń narodu polskiego? To przecież jest niewątpliwe. Czy też ma to

znaczyć, że państwo polskie winno prowadzić politykę, zgodną z interesami narodu polskiego? Czy jest do pomyślenia, aby kiedykolwiek choć przez jeden dzień mógł istnieć rząd, któryby się nie legitymował chęcią służenia według najlepszej swej woli interesom narodu, którego jest mandatarjuszem? Czy też raczej frazes o państwie narodowem oznacza co innego? To mianowicie, iż według terminologji p. Berezowskiego „grupa etniczna polska" musi posiadać jeszcze szczególne przywileje prawne.

„Na to odpowiem, że rząd uważa taką politykę za niepotrzebną. „Grupa etniczna polska" posiada w państwie z samej natury rzeczy największy przywilej, przywilej większości. Państwo jest więc eo ipso najwyższym organem działania polskiej racji stanu. Dlatego wszelkie przywileje wynikać mogą wyłącznie ze stosunku i ofiarności danej jednostki na rzecz państwa, nie zaś z przynależności tej jednostki do takiej czy innej grupy etnicznej. Tylko w stosunku do państwa wyraża się realnie przydatność obywatela dla polskiej racji stanu. Tak należy rozumieć to, co nazywamy polityką państwową. Na tem tle należałoby rozpatrzeć zarzuty p. Berezowskiego, czynione naszej polityce na terenie Małopolski wschodniej. Na jeden z tych zarzutów istotnie trudno cokolwiek odpowiedzieć. Panowie budujecie bowiem swoje koncepcje na rozróżnianiu określeń „ruski" i „ukraiński". Rozróżnianie takie zdaniem mojem jest bezprzedmiotowe.

„Nie przeczę, że zagadnienie to może interesować historyków i etnografów, natomiast nie widzę realnej możności operowania tem rozróżnianiem. Rząd nie ma ani możności, ani chęci narzucania nazwy poszczególnym narodowościom i musi rzecz tę im samym pozostawić. Nie chce również nigdy sztucznie zaprzeczać poczuciu wspólności plemiennej. Musi jednak żądać od danej mniejszości całkowitej i szczerej lojalności wobec państwa.

„Inny natomiast zarzut p. Berezowskiego, jakoby rząd niszczył placówki polskie na terenie Małopolski wschodniej, jest gołosłowny i fałszywy. Rząd troszczył się i troszczyć się będzie o Polaków w Małopolsce wschodniej na pewno nie mniej, niż o ludność ukraińską. Natomiast rząd musiał i musi przeciwstawiać się używaniu placówek pracy społecznej jako ośrodków wojujących nacjonalizmów i to znów zarówno wobec partji politycznych polskich czy ukraińskich, które na danych ośrodkach pracy społecznej, kulturalnej czy ekonomicznej eskontować chcą korzyści polityczne. Dlatego obozy polityczne, których siłą atrakcyjną ma być walka narodowościowa, nie mogą liczyć na poparcie rządu. Ale nie należy identyfikować interesu partyjnego z polskim interesem państwowym. A ten wymaga, abyśmy: 1) nie dopuścili do pasożytowania na społeczeństwie ukraińskiej polityki antypaństwowej, opartej częstokroć o czynniki zewnętrzne, 2) abyśmy jednakowo sprawiedliwie traktowali każdego obywatela bez względu na jego narodowość, 3) abyśmy przeciwstawiali się stanowczo wszelkim próbom opierania pracy politycznej na konfliktach narodowościowych. Tym wskazaniom rząd był i będzie konsekwentnie posłuszny".

Istotnie, w tej chwili, w sytuacji, jaka się wytworzyła, rząd nic innego na razie powiedzieć nie może, ale to, co mówi, jest w każdym razie jasne, zdecydowane i — sprawiedliwe. Chodzi więc tylko o to, aby było istotnie w czyn wcielone, aby administracja wszelkich dykasterji, zwłaszcza na terenie Rusi Czerwonej, ściśle się tego trzymała, o czem — wobec tak kategorycznego oświadczenia p. ministra — nie mamy powodu wątpić. A reszta jest już raczej rzeczą społeczeństwa, przedewszystkiem ukraińskiego, a w znacznej mierze i polskiego, w pierwszym zaś rzędzie elity społecznej z obu stron, aby rozumnem współdziałaniem, nie zrażając się żadnemi trudnościami, umiała problem współżycia obu naro-

dów odpowiednio rozwiązać i uregulować.

Inną tezę, niezmiernie ciekawą, przynoszą następujące słowa Listu: „...u nas nigdy nie było polityków i polityki, która odpowiadałaby w zupełności ideologji katolickiej“.

Temat ten na tle dawnej i nowszej historji narodu ukraińskiego nie da się zgłębić i wyczerpać krótkim komentarzem. Trzebaby książkę o tem napisać. Dlatego ograniczymy się tylko do wskazania, że przyjrzawszy się bliżej dziejom wieloletnich zmagań narodu ukraińskiego, czy poszczególnych jego warstw lub organizacji, o wyzwolenie społeczne czy narodowościowe, przypatrzywszy się niemniej dokładnie całej atmosferze bytu i nastawienia tego narodu, przyznać musimy, że mimo Unji, mimo poddania się Rzymowi, duch katolicyzmu, ogółem biorąc, nie przeniknął tak głęboko w umysły, tendencje i sposoby walki o byt ukraińskiego narodu, jakby tego od społeczeństwa katolickiego można było oczekiwać. Bizantynizm z jednej, a zachodni radykalizm z drugiej strony położyły się u podstaw ukraińskiego patrjotyzmu, kształtując go w nazbyt jednostronnej, rzec można akatolickiej postaci zaciętej nienawiści do wszystkiego, co na ziemiach, zamieszkałych w większości lub mniejszości przez Ukraińców, nie jest ukraińskiem i nie jest radykalnem. A duch ten zakorzenił się aż tak głęboko, że uzbraja zbrodnicze ręce nawet przeciw przyjaciołom sprawy ukraińskiej, nawet przeciw własnym rodakom, którzy innym torem dążą do wywalczania lepszych warunków bytu dla ukraińskiego narodu. A taka jednostronna, nieraz niczem nieuzasadniona, nieraz wprost absurdalna, samobójcza nienawiść, która zgóry, a priori, nie dopuszcza nawet myśli o zgodnem współżyciu z ludźmi innych przekonań lub innego plemienia, daleką jest od kardynalnych wskazań religji katolickiej!

Przecież, otwarcie mówiąc, dzisiaj każdy Polak i każdy Ukrainiec, który ośmieli się wystąpić pojednawczo.

w imię zgody i rozumnej racji stanu, jest na śmierć narażony. Radykalizm ukraiński, który sięgnął w tem społeczeństwie z pewnością wyżej, niż w innych społeczeństwach chrześcijańskich, wysila się na sparaliżowanie za jakąbądź cenę osiągnięcia na drodze spokojnej narodowych celów. On chce tylko krwią je wywalczyć, nawet krwią niewinną i przyjazną.

A to przecież nie jest duch katolicki. Można użyć broni w walce orężnej i dlatego my, Polacy, nie pamiętamy wojskom ukraińskim walk z roku 1918. Ale niepodobna oprzeć ideału walki o byt narodowy jedynie i wyłącznie na nienawiści, rewolwerze, bombie i sztylecie!

Niepodobna wogóle walczyć o wzniosłe ideały niskimi, skrytobójczymi sposobami.

W czasie powstania listopadowego, cofając się przed nawałą armji rosyjskiej, pozostawiały wojska polskie na polu bitwy sztandary z napisem: Za naszą i waszą wolność! A patrjotyzm polski, mimo wszelkich przeciwnych wyjątków rewolucyjnego radykalizmu, trwał zawsze w olbrzymiej większości społeczeństwa pod symbolem Jasnej Góry. Jesteśmy głęboko przekonani, że właśnie dlatego przetrwaliśmy zwycięsko wszystkie burze i eksterminacyjną niewolę, dotrzymaliśmy kulturalnie kroku rozwojowi Europy i mogliśmy uzyskać niepodległość, a wnet potem rozbić zwycięskie już niemal armje bolszewickie. Ale tego krótkowzroczny, bezpardonowy radykalizm znacznej większości politycznych sfer ukraińskich dotąd widocznie nie rozumie. I dlatego słusznie boleje List Pasterski nad faktem, że polityka ukraińska nie odpowiada zasadom katolickim. A my pozwalamy sobie dodać wyraźnie, że dlatego także, w braku tego głębszego religijnego ideału, wysiłki narodowe ogółu społeczeństwa ukraińskiego tracą na walorze i tracą na kulturze. J e s t t o c o f a n i e s i ę w s t e c z z u p o r e m, a n i e p o c h ó d n a p r z ó d. Nie śmiemy oczywiście brać na siebie odpowiedzialności za

interpretację słów Pasterskich, ale mniemamy, że i to również ks. Biskup miał na myśli.

System musi się zmienić, nastawienie społeczeństwa ukraińskiego musi się oprzeć także i w praktyce na głębszych zasadach ideologji katolickiej, aby naród mógł iść — naprzód!

W dwuch miejscach porusza List Pasterski inną jeszcze, bardzo doniosłą sprawę. „Wschód cały — to wielki sfinks. Może na zgliszczach i popiołach bolszewickich zbudzą się i nowe państwa, względem których Polska i Ukraina mogą odegrać wybitną rolę!... Historja związała oba narody nie na to, ażeby wzajemnie się biły, nienawidziły, i niszczyły, ale ażeby uzgodniły stosunki wzajemne i spełniły wielką misję, jaka czeka oba narody na wschodzie".

Oto cel wielki, naczelny, choćby nawet daleki, do którego zwrócić się powinny zawczasu myśli i prace obu narodów. Bo nie wiemy dnia ani godziny, kiedy problem ten stanie nagle, bezpośrednio przed nami. Biada Polsce, a zwłaszcza biada Ukraińcom, jeżeli moment ten zastanie nas nieprzygotowanych! Jeżeli spadnie na Ukraińców małopolskich zacietrzewionych, wyczerpanych bezkrytyczną walką i negacją!

Ten jeden cel, ta jedna wielka misja, ta jedna wielka racja stanu powinna już sama przez się wybić z umysłów katolickich Ukraińców na Rusi Czerwonej ideologję nienawiści i radykalizmu i nakłonić ich do intensywnej współpracy z państwem polskiem i z temi wszystkiemi sferami społeczeństwa polskiego, na szczęście licznemi, które pragną tej współpracy i zgody. Bo zapomnieć nie wolno ani na chwilę, że z każdego sporu korzysta zawsze ktoś trzeci, a Ukraińcy małopolscy mają w tym wypadku daleko więcej do stracenia, niż Polacy.

Jest faktem, przez historję powszechnie stwierdzonym i uznanym, że wszelka polityka wówczas tylko doniosłe i trwałe przynosi rezultaty, jeżeli skierowana jest ku jakiejś wielkiej misji czy idei. Otóż Ukraińcy małopolscy

mają wspólnie z Polską taką wielką ideę polityczną na wschodzie, ale to, co czynią od lat kilkunastu, tej idei stanowczo się sprzeniewierza. Paradoksalnie brzmi to może w ustach polskich, ale *nie wahamy się zarzucić Ukraińcom, że polityka ich jest polityką rezygnacji!* Zamiast realnie gotować się pod każdym względem do olbrzymiego, skomplikowanego, a najdonioślejszego dla nich problemu, *zwalczają swego jedynego w tej idei sprzymierzeńca!* Nie możemy zamilczeć, że i te stronnictwa polskie, które szowinistycznie ustosunkowały się do sprawy ukraińskiej, prowadzą również samobójczą politykę rezygnacji i defetyzmu, bo *nie rozumieją doniosłości katolickiego ukrainizmu na Rusi Czerwonej.* I o nich można powiedzieć to samo, co o radykaliźmie ukraińskim, zmieniając nieco przysłowie: Nichts gelernt und Alles vergessen!

Jakież pierwsze praktyczne wyjście z tej sytuacji, jakież przynajmniej pierwsze wyjścia tego zapoczątkowanie?

Daje i na to wskazówkę List Pasterski:

„...trzeba nam mężów, którzyby prowadzili politykę naszego narodu realnie i pozytywnie... na pozytywnym gruncie ideologji katolickiej, zachowując równocześnie pełną lojalność względem państwa... Polityka ich nie powinna być wąska, serwilistyczna, przebiegła, przedajna, ale... poważna i rozważna... pełna godności i nawskroś honorowa. Oni mają... zrobić przełom w naszej dotychczasowej, wąskiej, zaściankowej, gwałtownej i zarozumiałej polityce... Niech będzie ich mało... ale wytrwałych i świadomych swego zadania, bo *nie w licznej masie, ale w idei siła...* Dobry i korzystny kierunek musi zwolna, ale konsekwentnie i solidnie torować sobie drogę..."

Oto znakomite i z wielkiem praktycznem zrozumieniem sytuacji i potrzeb chwili ujęcie sprawy. Tak — zawsze i wszędzie, a zwłaszcza w okresach chaosu i kryzysu, pierwszym warunkiem jakiejkolwiek poprawy sytuacji jest

odważna, zdecydowana, nieugięta akcja nielicznego grona elity intelektu w danem społeczeństwie! Nie w liczbie — podkreślamy z naciskiem — ale w idei siła, oczywiście w idei, ujętej w formy rozumnej, praktycznej akcji przez szczupłe choćby grono uczciwych, zdolnych, a mocnych ludzi. Wówczas bowiem, wśród największego nawet chaosu, najbardziej nawet rozszalałej demagogji, powstaje w danem społeczeństwie silny słup racjonalnej myśli państwowej czy narodowej, o który oprzeć się może każdej chwili wszystko to, co burzliwymi fluktami chwilowych konjunktur politycznych lub gospodarczych zostało zdezorjentowane. Społeczeństwo, w którem taki słup i drogowskaz pozytywnej myśli politycznej istnieje, nie zginie, przetrwa wszelkie burze i oprze się wszelakim wewnętrznym i zewnętrznym zakusom wywrotowym właśnie dlatego, że słup ten ideologji pozytywnej, trzeźwej, objektywnej, stanowić będzie zawsze dla całego społeczeństwa niezbędny wskaźnik równowagi. Nawet dla radykałów! I oni bowiem nieraz korzystać będą z niego świadomie lub podświadomie, choćby go nawet oficjalnie z całą zaciekłością zwalczali.

Tego więc właśnie potrzeba w tej chwili najbardziej społeczeństwu ukraińskiemu na Rusi Czerwonej. Nie buńczucznej politykierji, naśladującej bezpłodnie a samobójczo walkę klasową i inne radykalne eksperymenty zachodnich narodów, ale przedewszystkiem wytworzenia i skonsolidowania wśród siebie umiarkowanej, szczerze katolickiej elity politycznej, działającej w imię „zdrowego rozsądku". Jak bowiem najsilniejszy nawet organizm bez mózgu, tak i żadne społeczeństwo cywilizowane bez takiej elity, choćby stosunkowo nielicznej, egzystować nie może. Nie może egzystować zwłaszcza naród,

który pragnie gorąco czegoś i dąży do czegoś, czego bezmyślną, radykalną politykierją, partyjnictwem i „kombinatorstwem“ przenigdy nie osiągnie!

Ale w danych warunkach nie wystarczy, jeżeli tylko w społeczeństwie ukraińskiem wytworzy się taka elita polityczno-społeczna. Nie wystarczy to dla ochrony najżywotniejszych interesów państwa polskiego. Trzeba nadto koniecznie, aby wysiłek w tym kierunku po ukraińskiej stronie znalazł także żywe echo, pełne zrozumienie i wszelką czynną pomoc ze strony podobnej elity w polskiem społeczeństwie. I do tej polskiej elity ten sam nakaz się stosuje: nie politykować zanadto, nie rzucać się i nie zużywać na szerokich fluktach walk i zmagań politycznych wszelkiego rodzaju, które swym ogromem przerastają najoczywiściej siły stosunkowo nielicznej grupy intelektu, ale skoncentrować wszystkie swe wpływy i wysiłki w kierunku poparcia przedewszystkiem tych spraw i poczynań w państwie, na które elita polska może istotnie wywrzeć wpływ skuteczny. A do takich zadań należy właśnie poparcie całą mocą umiarkowanego i szczerze katolickiego prądu w ukraińskiem społeczeństwie.

Nie znaczy to, aby z zarozumialstwem chcieć takiemu prądowi w bratnim narodzie patronować lub mentorować, ale o zastosowanie bardzo praktycznej zasady, że parą koni dalej i prędzej, niż jednokonką, się zajedzie!

Oto myśli i konkluzje, które List Pasterski ks. Biskupa Chomyszyna z nieodpartą mocą każdemu czytelnikowi, zdolnemu do objektywnego myślenia, nasuwa. Słusznie można List ten nazwać „przełomowym“, bo inauguruje istotnie przełom w dotychczasowej mentalności i taktyce ukraińskiego społeczeństwa, a równocześnie apeluje także i do polskiego społeczeństwa do uczynienia w swej taktyce w sprawie ukraińskiej też zdecydowanego wyłomu —

w kierunku zerwania z różnemi „metodami, systemami i eksperymentami“ na terenie Małopolski wschodniej, a natomiast zastosowania niewzruszonej, organicznej, sprawiedliwością dyktowanej współpracy z każdym, choćby na razie liczebnie drobnym objawem dobrej woli wśród społeczeństwa ukraińskiego.

Mamy wrażenie, że doniosły ten dokument historyczny stanowczo niedość na razie wywarł wrażenia na społeczeństwie polskiem i ukraińskiem, nazbyt zaabsorbowanem dorywczem politykowaniem i „rozgrywkami“ różnego rodzaju. Ale jesteśmy także przekonani, że niedaleka już może przyszłość oceni olbrzymi walor tego niezwykłego orędzia i zacznie od niego datować stopniowy przełom w stosunkach polsko - ukraińskich. To pewna, że w kierunku, przez powyższy List Pasterski wytkniętym, w każdym razie „Nasza Przyszłość“ i skupiające się na jej platformie polskie sfery polityczne pójdą zdecydowanie, nie dając się niczem odstręczyć, ani niczem zastraszyć.

Redakcja.

DYPLOMATYCZNE WĄTPIENIA?

Od chwili wybuchu rewolucji rosyjskiej porównywano ją z rewolucją francuską: podobieństwa narzucały się. I tu i tam, jako drogę do celu — do jego osiągnięcia, a po osiągnięciu do utrwalenia nowego stanu rzeczy — obrano bezwzględny i wyrafinowanie okrutny terror. I tu i tam zwycięstwa rewolucji nietylko nie dały dobrobytu masom, których obronę rewolucja niby to miała na celu, występując we Francji pod hasłem równości, t. j. zrównania ich z warstwami uprzywilejowanemi, w Rosji zaś pod hasłem nawet ich dyktatury; ale masy znalazły się i tu i tam w nędzy, większej jeszcze, niż ta, która je za starego reżimu trapiła.

Są to jednak podobieństwa zewnętrzne; różnice zaś sięgają daleko głębiej. Na samym wstępie uderza nas jeden szczegół. Terror trwał we Francji niecałe dwa lata, a w Rosji trwa już lat 14. W tym zaś czasie wyrosło nowe pokolenie, szczelnie odgraniczone od wpływów zachodu, nie mające pojęcia o historji Europy, bez wyobrażenia o jej kulturze i tych zasadniczych wszelkiej kultury podstawach, jakiemi są religja, rodzina i własność, a natomiast ze starannie wpojonem przeświadczeniem, że to wszystko jest b u r ż u j s t w e m, co w żargonie sowieckim oznacza zgniliznę i że dopiero bolszewicy stworzą nowy porządek, nowy świat.

Przypuśćmy, że spełniły się pragnienia emigracji rosyjskiej i wraz z nią wszystkich ludzi uczciwych na świecie i że Sowiety zostały pokonane i zmiecione, a przyszedł nowy rząd ze szczerą chęcią naprawy wszystkiego, co rewolucja niszczyła lub psuła; czy rząd ten będzie dość silnym, aby złamać opór, choćby tylko bierny, opór nowego, moralnie zdziczałego pokolenia, wychowanego w zarozu-

miałej pogardzie tych dóbr wszystkich, które my wyrazem kultura określamy? Kto te bandy djabłów, rozszalałych nienawiścią do rzeczy ducha i do Boga, tego, według słów Lenina, „wielkiego właściciela ziemskiego, którego własnością są wszyscy mieszkańcy ziemi“, a cześć, tyranowi temu oddawana, jest „ubóstwieniem swoich własnych najpodlejszych, niewolniczych instynktów, zapaskudzeniem siebie“ (Lenin) — kto bandy te wprzęgnąć zdoła pod jarzmo nieznanej im i wstrętnej kultury duchowej?

Długotrwałość zaś rewolucji nie jest przypadkiem, nad którym możnaby przejść do porządku. Fakt ten tem tłomaczymy, że nie miała ona przed sobą tych przeszkód, jakiemi były dla rewolucji francuskiej koalicje państw europejskich i krwawe powstania na zachodzie Francji. Rewolucja rosyjska szybko stłumiła opór, który jej stawiały carskie wojska, wyczerpane 4-letnią wojną, państwa zaś europejskie od początku sprzyjały jej i ją popierały, oczywiście nie przyznając się do tego, a pozorując zachowanie swoje ścisłą neutralnością. Przychodzą mi tu na pamięć słowa prezydenta Masaryka, że nie obchodzi go, co w Rosji i z Rosją robić należy, bo „to sobie załatwią Rosjanie sami między sobą“. Czy słowa te, wygłoszone przez znakomitego filozofa, który zwykł podkreślać swoją etyczność, nie były obłudnym frazesem? Czy wolno uważać mord, dokonywany nad wielkim narodem, za widowisko, któremu możemy obojętnie przypatrywać się z naszej loży? Czy ta ścisła neutralność, to niewtrącanie się w cudzą sprawę nie jest w danym wypadku wtrącaniem się na korzyść silniejszego?

Wreszcie — i to jest najważniejsze, w tem leży zasadnicza, a głęboka różnica między bolszewizmem a rewolucją francuską — rewolucja francuska stawiała przed sobą. w przeciwieństwie do bolszewizmu, cel realny t. j. rozsądny, dający się osiągnąć. We Francji absolutną władzę w ręku miał król, opierający się na szlachcie i na wyższem

duchowieństwie, rewolucja zaś była dziełem burżuazji, która posiąść chciała te same przywileje, ażeby, posiadłszy je, zepchnąć nadół, dzięki licznebnej swej przewadze, tamte warstwy i kierować Francją. Byli między rewolucjonistami ludzie o nastroju komunistycznym, ale ci stanowili nieznaczną mniejszość. Gdy więc cel został dopięty, terror musiał z natury rzeczy prędzej czy później ustąpić miejsca porządkowi prawnemu.

Rewolucja zaś rosyjska postanowiła urzeczywistnić socjalizm integralny na gruzach ostatecznie zniszczonego kapitalistycznego ustroju. Kapitalizm stoi na prawie własności, a poczucie własności leży w naturze człowieka; o to, że to jest moje, a nie twoje, czubią się ze sobą już małe dzieci. Co w naturze człowieka leży, co z tej natury wynika, może być zniszczone, jak to widzimy w Rosji, drogą terroru, ale pytamy, czy pogwałcona natura nie dopomni się o swe prawa i nie wróci do nich? Dlatego to cel rewolucji rosyjskiej nazywam celem nierealnym.

Nikt nie powie, że ustrój kapitalistyczny jest ustrojem idealnym; pociąga za sobą konsekwencje, które stają się nadużyciem i naruszeniem własności. Mały kapitał nie jest w stanie konkurować z kapitałem większym; mniejsze przedsiębiorstwa, jedno za drugiem, bankrutują i wielki kapitał skupia się w ręku coraz mniej licznych, a tem potężniejszych miljarderów. Przed ich potęgą ugina się nawet państwo, bo państwo dla celów swoich, czy to inwestycyjnych, czy militarnych, czy jakichkolwiek innych, pożyczać musi i, im więcej pożycza, tem bardziej obciąża ludność podatkami, aby móc odsetki wierzycielom swoim płacić. Zdawałoby się, że między kapitałem wielkim, czyli plutokracją, a socjalizmem powinnaby wybuchnąć walka na śmierć i życie; tak jednak nie jest, bo socjalizm staje się narzędziem wielkiego kapitału.

Genjalny nasz publicysta i myśliciel, hr. Wojciech Dzieduszycki, przedstawił niegdyś ów wielki kapitał w mitycz-

nej postaci Lewiatana *). „Lewiatan dni dzisiejszych — mówi on — to wielki miljarder, który sam nic nie produkuje, ale pobiera dochody ze wszystkiego na całym świecie; to generalny właściciel cudzych majątków, pracodawca takich nawet, którzy sami pracodawcami mienią się być, a których on nie zna i dbać o nich nie potrzebuje". Wszystko, co się dzieje na świecie, począwszy od wielkich rzeczy, jak rewolucje, a kończąc na mniejszych, jak mordy polityczne, dzieje się za jego wolą i na jego rozkaz; prasa rewolucyjna jest przez niego opłacana, bo na rewolucjach on dobry robi interes. Państwo, które przez rewolucję przeszło, jest państwem spustoszonem, zubożałem; ażeby z nędzy i chaosu się wydobyć, musi pożyczkę i to na wysokie procenta zaciągnąć; kto ją da? Tylko Lewiatan i, dzięki temu, staje się on w państwie panem nad pany, przed którym drżą królowie i prezydenci. Ale może znajdzie się ktoś mądry, kto zrozumie, jakiem niebezpieczeństwem dla państwa są rządy plutokracji? Lewiatana ogarnia niepokój, lecz jest na to środek — i „na to, aby od potęgi swojej i zbytków odwrócić uwagę, każe on w gazetach i po wiecach złorzeczyć kapitałowi małemu, głównie szlachcie ziemskiej, jako feudalnym ciemiężcom ludu, a bajecznie uprzywilejowanym potentatom; że zaś ludzie są głupi, więc jemu wierzą i sam nawet zadłużony najczęściej ziemianin gotów chwilowo uwierzyć w swe państwo i w swoją feudalną potęgę".

Niestety, ów feudalny pan, przeciw któremu tak zawzięcie podszczuwają demokratyczni agitatorzy wszelkich odcieni, „chodzi dzień cały — ubolewał Dzieduszycki — w wysokich butach po polu, troszczy się po bezsennych nocach, skąd podatek, a przedewszystkiem ratę bankową zapłacić, czem dzieci wychować, odmawia sobie wszystkiego, mieniąc zachowanie odziedziczonego majątku patrjotycznym obowiązkiem, a jest pomimo to przedmiotem zawiści oko-

---

*) W pismach „Mesjanizm polski a prawda dziejów" i „Dokąd nam iść wypada".

licznej ludności", okrzyczany jako wyzyskiwacz i „krwiopijca". O ileż bardziej stosują się słowa te do naszych czasów! Tymczasem „miljarder, który spożywa całe zadłużonego jego majątku dochody, żyje rozkosznie w miejskim pałacu, albo w willi gdzieś nad Śródziemnem Morzem, daje obiady, polowania, bale, trzyma konie wyścigowe, a metresę kąpie w szampanie".

Sądzę, że gdyby Dzieduszycki dożył do chwili obecnej, toby nieco zretuszował swój obraz. Lewiatan niewątpliwie przyczynił się do wywołania rewolucji w Rosji, ale interesu na niej nie zrobił; nie przewidział niewypłacalności dłużnika.

Rewolucja rosyjska zniosła własność prywatną, na której stoi ustrój kapitalistyczny, ale zastąpiła to nową formą kapitalizmu, czyniąc państwo właścicielem wszystkiego, co jest. Wraz z tem nastąpił powrót do tego, co było hańbą ludzkości i zdawało się już pogrzebanem na wieki: w s k r z e s z o n o   p a ń s z c z y z n ę. Bolszewizm zaczął od zniszczenia warstw zamożnych; dokonawszy tego, zabrał się do chłopów. Ponieważ własność jest bezprawiem, więc zbrodniarzem — według terminologji bolszewickiej „kułakiem" — jest chłop, który dotychczas coś jeszcze posiada lub coś sobie zaoszczędził. Zabierają mu jego mienie; w razie stawiania oporu czeka go śmierć albo katorga. W t. zw. kołchozach wszystko dzieje się według dzwonka, czy bębna; mamy tam drobiazgowy rozkład dnia, policzono każdą chwilę, a w chwilach przerwy, przeznaczonych na wypoczynek i jedzenie, je się ze wspólnego kotła. I wspólne jedzenie z kotła (czy nie zakrawa to na ironję?), te kilka łyżek kaszy, są jedyną dla chłopa kompensatą za to, że pozbawiono go wolności. Przy ustroju kapitalistycznym nędza usunąć się nie daje, mogą być tylko łagodzone jej objawy drogą miłosierdzia prywatnego, opieki społecznej i ingerencji państwa; w razie zaś urzeczywistnienia komunizmu powszechnego, ściślej mówiąc, kapitalizmu państwowego, ku czemu dążą Sowiety, każdy miał-

by zapewnione minimum egzystencji, czyli owe kilka łyżek kaszy z kawałkiem suchego chleba, nie więcej, natomiast żyłby życiem niewolnika czy więźnia. A czy jest więzień lub niewolnik, któryby nie wzdychał za wolnością?

Według G. Le Bon'a*) rewolucja zwycięża, gdy w niej bierze górę pierwiastek mistyczny, gdy się staje religją, stwarzając fanatyzm wiary, jeśli nie w żywego Boga czy bogów, to w martwe formuły czy wyrazy. Rewolucją francuską kierowała fanatyczna wiara w rozum, który wyprowadzi ludzkość z obłędu, w jakim żyła. Wodzowie rewolucji rosyjskiej są raczej wiwisekcjonistami, którzy na żywem ciele narodu robią swoje straszliwe doświadczenia, natomiast masom dali religję maszyny, bo maszyna jest najwyższym wyrazem postępu i symbolem przyszłej szczęśliwej ludzkości. Ferrero przed dwudziestu jeszcze laty powiedział, że w „wieku, w którym wszystko odrzucić można — Boga, ojczyznę, rodzinę — o jednem nie wolno wątpić: o dobrodziejstwach postępu technicznego".*) Maszyny będą coraz doskonalsze, wytwarzać będą coraz więcej, coraz szybciej, kosztem coraz krótszego czasu i coraz mniejszego wysiłku, dawać więc będą rzeczy coraz lichsze, tandetę; żadna cywilizacja nie powstrzyma ich furji i tandetą zaleją one świat, „jakość upadnie pod ciosami ilości". I to szczególnie bolało włoskiego historyka i myśliciela. Poza tem wobec tego, że maszyny potęgują produkcję, dla której w końcu niema popytu, trzeba wymyślać potrzeby sztuczne: „Maszyna żąda przeistoczenia człowieka w nienasycone zwierzę i to jest pobudką do wojen kolonjalnych, do narzucania tej na maszynach toczącej się cywilizacji narodom, które pragnęłyby jednego tylko: żyć w spokoju".

Ale pisząc przed 20 laty, nie zastanowił się Ferrero nad tem, że sztuczne potrzeby mają swoje granice, że gra-

---

*) Dr. Gustave Le Bon: La Révolution Française et la psychologie des réevolutions". (Paris, Flammarion).

*) W „Tra due mondi" (Między dwoma światami").

nice ma także nasza kula ziemska i że przyjść może chwila, w której wobec ogromu produkcji nie będzie możliwości zbytu. Chwila ta dziś nadeszła.

O tem bolszewizm nie myśli. Postanowiono tam upodobnić człowieka do maszyny. Trzeba zwiedzić bolszewicką Rosję i ją poznać, trzeba wniknąć, przeżyć — jak wyraził się Fülöp Miller *) — bezradosne radości bolszewika, aby objąć całą grozę fantastycznie dzikiej myśli, jaka tam powstała, przeistoczenia ludzkości w jeden olbrzymi automat, w obrzydliwego potwora o tysiącach nóg i rąk, którego nazwano „człowiekiem kolektywnym". Bolszewicki artysta Kryński przedstawił tego kolektywnego człowieka w postaci olbrzymiej maszyny, złożonej z malutkich kloców, z których każdy ma człowiecze kształty. Na innym jego rysunku widzimy wnętrze świątyni, w której nad ołtarzem, pod kopułą, zawieszono maszynę, a naokoło niej stoją, niby w pobożnem skupieniu, owe kloce o człowieczych kształtach, wszystkie do siebie podobne, bez wyrazu, bez życia, bez indywidualności. Bolszewizm powinien byłby dla konsekwencji skasować imiona i nazwiska, a oznaczać ludzi liczbami, ale czy zdoła on do takiego stopnia zatrzeć w jednostce ludzkiej jej indywidualność, że człowiek pod liczbą np. 125 niczem różnić się nie będzie od swego sąsiada pod liczbą 124? I czy można przypuścić, że istota żywa, czująca i myśląca zechce być bezmyślnym automatem, kółkiem w maszynie, czy dodatkiem do niej?

Aby czegoś podobnego zechcieć, trzeba wpierw wyzuć się z uczucia religijnego, którego istotę tak głęboko określał św. Augustyn: „Niespokojnem jest serce człowiecze, dopóki nie znajdzie spokoju w Tobie, Boże" (Irrequietum est cor nostrum donec requiescat in Te). Ideę zaś Boga kojarzymy z temi najwznioślejszemi i najlepszemi uczuciami, które ogarniają nas w najwznioślejszych i naj-

---

*) Por. „Geist und Gesicht des Bolschevismus". (Amalthea Verlag).

lepszych chwilach życia naszego. Człowiek chciałby się wydobyć z ciasnoty bytu doczesnego, od rzeczy małych i marnych; od tego, co przechodzi i znika, rwie się serce jego ku temu, co nie przechodzi i nie znika! Patrzymy z rozkoszą na ptaka, szybującego po błękitach, jako symbol dalekiej a nieskończonej szczęśliwości, za którą tęsknimy, obrzydzeniem zaś przejmuje nas płaz, czołgający się po ziemi.

Ten pęd do góry jest wrodzony człowiekowi, kaleką jest, kto go w sobie nie czuje; bolszewizm postanowił okaleczyć człowieka. Zdawałoby się, że bolszewicka koncepcja zmechanizowanego świata, w którym żywi ludzie staliby się bezdusznemi maszynami, powinna budzić uczucie wstrętu. Niestety — nie! Z bólem stwierdzamy, że ma ona w sobie jakiś urok, który pociąga człowieka współczesnego. Ten jego nastrój określa Mereżkowski jako wolę, czy żądzę pozbycia się swego ja (wola k biezlicznosti) *); w tem się dziś streszcza — mówi on — wola nasza.

Nie być sobą, ale zato być w Bogu, tonąć w przedwiecznem, absolutnem pięknie Bożem, czyli z natury wznosić się w nadnaturę — stanowi to najgłębszą treść religji. Nie być, przestać być sobą, ażeby się stać kółkiem w maszynie, nakręcanem, jak zegar, w oznaczonej porze na oznaczony czas, jest najohydniejszą karykaturą religji, jaką wyobrazić sobie można.

To antyreligja, spychająca z wyżyn człowieczeństwa w otchłań upodlenia. W tę otchłań spadła Rosja Sowiecka i za Rosją spada Europa ze wzrastającą szybkością rzuconego kamienia. „Takiego zjawiska — słusznie pisał redaktor „Naszej Przyszłości“ **) — nie oglądał jeszcze świat; takie powszechne zaślepienie, taka samobójcza, z zaślepienia tego wynikająca polityka“.

---

*) M. Zdziechowski, „O końcu historji“. („Nasza Przyszłość“, październik, 1931).

**) „Nasza Przyszłość“, październik, 1931.

Nic dziwnego, iż Mereżkowskiemu nasunęła się myśl, że chyba świat zwarjował, dotknięty jakąś mistyczną sugestją ciemnych mocy.

Nie, może to Mereżkowski zwarjował, może ja zwarjowałem, bo jakże to nam literatom, ludziom ze świata marzeń czy ideałów, przeciwstawiać się realistom politycznym, politykom z fachu, kierownikom państw? Czy nie jest to zuchwałą zarozumiałością uważać za głupstwo, za upadlające i samobójcze głupstwo, te pakty o nieagresji, które oni wybłagują u bolszewików i tryumfalnie obwieszczają światu, jako zdobycze, jako arcydzieła sztuki dyplomatycznej, zapewniające ludziom spokój i na długie lata pomyślność?!

Podobne wątpienia nawiedzały mię niekiedy. Razu jednego, po rozmowie z politykiem, w której nieśmiało poglądu swego broniłem, wróciłem do siebie i zabrałem się do przerwanej lektury książki, napisanej przez człowieka, na którego zwrócone są teraz oczy całego świata, my zaś Polacy ze szczególnym niepokojem śledzimy — musimy śledzić — jego słowa i czyny. I oto natrafiam na następujące słowa z powodu kwestji bolszewizmu: „Nie zawiera się układu z partnerem, o którym się wie, że chce mnie zniszczyć i w tem swój jedyny interes upatruje (sein einziges Interesse)“.

Kto te słowa napisał? Wódz nacjonalizmu niemieckiego w najjaskrawszej jego postaci, Adolf Hitler, który w tejże książce dowodzi, że dążenie do przywrócenia granic z r. 1914 jest ein politischer Unsinn, bo Niemcy sięgnąć muszą dużo dalej na wschód i dlatego odrzucić powinni wszelkie sprzymierzanie się z Sowietami: „Wojna w sojuszu z nimi wywołałaby katastrofalną dla nas koalicję reszty świata przeciwko nam, końcem wojny tej byłby koniec Niemiec... Powołujecie się na Bismarcka, ale nie o to chodzi, co Bismarck wtedy robił, lecz o to, co-

by zrobił dziś; jego rozum polityczny nie dozwoliłby mu szukać przymierza z państwem, skazanem na upadek".*) Hitler — mógłby tu ktoś powiedzieć — jest agitatorem politycznym, nie zaś politykiem, nie należy więc zapędów jego traktować poważnie. Nie składam jednak broni, z cenną bowiem pomocą przychodzi człowiek, pod względem struktury umysłu niepodobny do mnie, niemal przeciwieństwo moje, ś. p. Erazm Piltz, polityk zawodowy, bardzo trzeźwy, bardzo rozsądny; nigdy nie dał się unieść wyobraźni czy uczuciu; był przed wojną powagą największą w obozie t. zw. polityki realnej; w czasie wojny reprezentował stronnictwo to w Lozannie i w Komitecie Paryskim; po wojnie był posłem w Pradze, zastępował czas jakiś, w r. 1920, ministra spraw zagranicznych. Przytoczę tu list, który do mnie napisał z powodu artykułu mego: „Arcybaszew a kwestja rosyjska w Polsce".

Szanowny i drogi Panie!

W tej chwili przeczytałem w „Słowie" Pański artykuł o Arcybaszewie. Jestem cały pod jego potężnem wrażeniem i urokiem i chcę, nie zwlekając ani chwili, zaraz Panu wyrazić mój podziw i zachwyt. Porusza Pan w tem głębokiem studjum wszystkie strony rosyjskiego zagadnienia, dotyka Pan je skalpelem filozofa i rozwiązuje ręką politycznego i społecznego działacza w taki sposób, że ja, choć się nieraz z Panem w pewnych kwestjach, dotyczących polityki zagranicznej, nie zgadzałem, to dziś, w danej sprawie, zgadzam się we wszystkich szczegółach, w głębi duszy, usque ad finem.

Jakże tragicznie słusznym jest sąd Pański o bolszewiźmie! Co powie potomność, co powiedzą ludzie, którzy po nas przyjdą, o rządach, parlamentach — społeczeństwach, które ubiegają się na wyścigi o możność obcowania, współpracy, współżycia z tymi barbarzyńcami!!

*) Adolf Hitler, „Mein Kampf", (München, 1930). Por. s. 744 — 750.

Czytając Pański artykuł myślałem sobie, jakby to dobrze było, gdyby wydrukowano jakieś sto tysięcy odbitek artykułu tego i rozdano, rozrzucono! Bo iluż ludzi nie zdaje sobie sprawy z całej grozy niebezpieczeństwa!

Z całą przyjaźnią

(—) **Erazm Piltz.**

Warszawa, 7/IV-1927.

Ażeby czytelnik nie pomyślał, że przedrukowałem list powyższy w celu samochwalczym, dodaję, że nazajutrz po napisaniu jego wpadł do rąk Piltza mój odczyt o sprawie Węgier — i do niewysłanego jeszcze listu autor jego dodał długie post-scriptum, w którem, polemizując z poglądem moim na Węgry, jako „wołającym o pomstę“, wyraził swoją „wielką, ostrą przykrość“ z tego powodu. Czem się to dzieje — pisał — że człowiek, który ilekroć razy swój wzrok wzwyż albo na wschód zwraca, umie przemawiać natchnionym językiem i patrzeć jasnowidząco w przyszłość, wygłasza herezje polityczne, skoro tylko spraw środkowo-europejskich dotyka? Prosił, bym go odwiedził w Warszawie: „Może potrafię z dokumentami w ręku udowodnić, jak błędne są poglądy Pańskie w tej jednej dziedzinie“.

Odwiedziłem znakomitego publicystę i polityka w Warszawie, rozmawialiśmy o rzeczach polsko-węgierskich. Nie przekonał mnie, głoszę nadal uparcie konieczność polsko-węgierskiej łączności właśnie z powodu grozy niebezpieczeństwa, jakie idzie od bolszewizmu i Sowietów.

Marjan Zdziechowski.

JAK POWSTAŁA DYKTATURA PRODUKCJI?

Pan Dr. Jan Bobrzyński poruszył w grudniowym numerze „Naszej Przyszłości“ niezmiernie ciekawe zagadnienie, które niewątpliwie musi wywołać ożywioną dyskusję, gdyż jest niczem innem, jak zagadnieniem istnienia. Dyktatura Produkcji, zdaniem p. Bobrzyńskiego, prowadzi do ruiny gospodarczej państwa, do zsocjalizowania społeczeństwa, a co za tem idzie, do nędzy ogólnej, do ruiny materjalnej i moralnej całego świata. Jeżeli chodzi o skutki, to można się na nie zgodzić niemal bez zastrzeżeń, jeżeli natomiast o źródło zła, to leży ono gdzieindziej, niż Sz. Autor przypuszcza, gdyż obłędne tendencje wzmagania produkcji nie wypłynęły bynajmniej ze sfer gospodarczych. Zostały one sferom gospodarczym siłą faktów narzucone i była chwila, kiedy się zdawało, że to wzmożenie produkcji może warsztaty ocalić.

Ażeby zbadać przyczynę zła, musimy przedewszystkiem ustalić moment, w którym to zło powstało i śledzić jego rozwój. A przedewszystkiem musimy ustalić, kiedy nastąpił sztuczny rozwój produkcji i co było przyczyną tego nadmiernego rozwoju.

Jeżeli cofniemy się do końca ubiegłego stulecia, widzimy olbrzymi wzrost produkcji i to w każdej dziedzinie. Produkcja nie jest jednak warunkowana sztucznymi środkami, a podąża jeno za popytem. Jak tylko podaż przekroczy popyt, widzimy natychmiastowe kurczenie się danego działu produkcji. Nadmiar towaru powoli rynek wsysa, słabe i nieracjonalnie postawione przedsiębiorstwa bankrutują i zmieniają właścicieli, względnie likwidują się. Nikt

nie ma zamiaru ich ratować, o ile nie jest w nich zaangażowany i przez to zmuszony do ratowania własnych pieniędzy. I jest to zupełnie naturalne, gdyż zyski i straty są niczem innem, jak potwierdzeniem ryzyka, które jest udziałem każdego, na zasadach kapitalistycznych opartego przedsiębiorstwa. W ten sposób zmniejsza się konkurencja, a w miarę rozszerzania się rynków zbytu powiększają się zarobki przedsiębiorstwa i tworzą zachętę do lokowania nowych kapitałów.

Nikomu nie przychodzi na myśl, że związek przymusowy, jakim jest państwo, ma obowiązek ratowania dziedziny produkcji, która jest nieopłacalna, przez fundusze publiczne*). Co najwyżej, o ile warunki w swoim własnym kraju są gorsze dla wytwórcy, jak w innym kraju, mającym ten sam rodzaj produkcji, państwo ingeruje systemem taryfowym lub celnym. System ten, nazwany protekcyjnym, jest również stosowany bardzo oględnie, gdyż kryje niebezpieczeństwo albo wychodowania tworów cieplarnianych, niezdrowych i niezdolnych do konkurencji, albo zmusza część ludności do ponoszenia ofiar w formie wysokich cen na rzecz drugiej części ludności. Najklasyczniejszym przykładem jest Anglja, która wychodziła z założenia, że mając wszystkie surowce, nie potrzebuje żadnych ceł nakładać i kilkadziesiąt lat wytrwała bez protekcjonizmu celnego. System ten okazał się widocznie dobrym, bo wytworzył z jednej strony niezwykłą solidność i wysoki gatunek towaru, z drugiej strony podniósł tężyznę charakte-

---

*) Z tem twierdzeniem Szanownego Autora zgodzić się nie możemy. Takie właśnie twierdzenia wytwarzają w kraju atmosferę „dyktatury produkcji". Państwo ma obowiązek popierać produkcję odpowiedniemi zarządzeniami, ustawodawstwem życzliwem i polityką, ale nie topieniem w niej funduszów publicznych, składanych przez obywateli na cele ogólnopaństwowe, a zwłaszcza topieniem tych funduszów w przedsiębiorstwach, które się nie opłacają. Dla nieopłacających się gałęzi produkcji trzeba przedewszystkiem stworzyć odpowiednie warunki opłacalności, bez których topienie w nią gotówki czy kredytów na nic się nie przyda. (Przyp. Redakcji).

rów, przedsiębiorczość i zaradność do niebywałych rozmiarów. Jedyny „protekcjonizm“, to było tępienie nieuczciwej konkurencji, a zatem jawność pochodzenia towarów. Gdy tandeta niemiecka zaczęła zalewać Zjednoczone Królestwo wraz z kolonjami, jedynem zarządzeniem był nakaz wystawiania świadectw pochodzenia „made in Germany“, który bynajmniej nie zabraniał sprowadzać bez cła towarów niemieckich, a jedynie tylko objaśniał konsumenta, skąd towar pochodzi! Ale system ten nie dał się pogodzić z zasadą dopłacania do produkcji przez rząd, a temsamem przez społeczeństwo angielskie i w konsekwencji musiał runąć, jak to widzimy w ostatnich miesiącach.

Rozrost produkcji niemieckiej kształtował się na nieco odmiennych zasadach, lecz również, ogólnie biorąc, zdrowych i racjonalnych. Dzięki wielkiemu przypływowi pieniędzy po wojnie francusko-pruskiej w formie olbrzymiej kontrybucji, nałożonej Francji, rozpoczęła się era wielkich inwestycji. Budowano koleje, kanały, szosy, wspaniałe gmachy i powiększono temsamem pojemność rynku wewnętrznego. Dzięki cichej penetracji do Rosji znaleziono nowe rynki zbytu. Wszystko to jednak było robione przez inicjatywę prywatną, przez zdolność organizacyjną i konkurencyjną, a państwo pomagało przez sumienny, patrjotyczny aparat biurokratyczny, który starał się obarczyć swego obywatela minimum kosztów, a zatem zrobić go do maximum zdolnym do konkurencji. Stopa procentowa najmniej podlegała reglamentacji, a była niską z powodu zaufania i chronienia praw wierzyciela. Nisko procentowe kredyty dla rolnictwa nie były prezentem jednej części społeczeństwa na rzecz drugiej, a jedynie wypływały z zaufania do renty ziemskiej.

Rosja nie naśladowała ani liberalizmu Anglji, ani nie miała sprawnego aparatu biurokratycznego Niemiec. Hołdowała natomiast zasadzie nie mieszania się zupełnie do produkcji, niepomagania, ani nieprzeszkadzania. Ryzyko przeto przedsiębiorcy było większe, lecz i zysk również. Podo-

bnie, jak nie interesował się rząd rosyjski stratami produkcji, tak samo mało interesował się zyskami i pozostawiał je w całości temu, który chciał ryzyko ponieść. Konjunktura zatem wszystko regulowała. Otwierano przedsiębiorstwa powiększano, zwijano. Ryzyko tak dalece było brane pod uwagę, że przedsiębiorstwo, które w kilka lat się nie zamortyzowało, nie miało widoków realizacji, natomiast straty były odrazu przekreślone i puszczone w niepamięć.

W tej fazie rozwoju przychodzi największa katastrofa dziejów t. j. Wielka Wojna.

Z jednej strony pozornie zamykają się rynki zbytu, ustaje handel międzynarodowy, zmniejsza się produkcja z powodu braku rąk roboczych, z drugiej strony zapotrzebowanie na towar wzrasta, gdyż odbywa się masowe, celowe niszczenie pracy ludzkiej. Niszczenie to jest ujęte w system. Każde cofnięcie się lub pójście naprzód armji ma jako cel zniszczenie towaru tak swojego, jak nieprzyjacielskiego, aby tylko ten towar nieprzyjacielowi się nie dostał. I zaczyna się, poza masowym zużyciem stali, żelaza, bawełny, skóry, środków chemicznych, masowe zatapianie miljonów ton ładunków okrętowych. Brak towarów wszędzie już po kilku miesiącach daje się odczuwać. Cena towaru idzie zawrotnie w górę i przewidywanie, że jeszcze będzie droższy, ogarnia masę ludzką. Powstaje wtedy nowa psychologja, że niema takiej produkcji, którąby się nie opłacała i że trzeba za wszelką cenę i we wszelkich warunkach wytwarzać, przerabiać, ukrywać towar, gdyż będzie jeszcze droższy. Państwa z jednej strony ze względów na pokój wewnętrzny przeciwstawiają się podnoszeniu cen, reglamentując je i utrudniając spekulację; z drugiej strony nie mogą we własnym interesie hamować produkcji i wytwarza się jakaś zygzakowata linja, w której produkcja otrzymuje jednak rację i zgarnia zawrotne zyski, które są dalszą podnietą do produkcji. Ten, który pierwszy zaczął produkować,

był najmądrzejszy, bo zgarnął najwięcej, ten, co był ostatnim, nie mógł już zdążyć zarobić.

Naraz „wybucha“ pokój.

Razem z pokojem następuje nowy szał. Niektóre dziedziny produkcji już przestają się sowicie opłacać, gdyż produkt ten stał się niepotrzebnym. Niektóre przechodzą pewien rodzaj kryzysu, gdyż pośpieszna likwidacja „stocków“ wojennych duże ilości towarów rzuciła na rynek. Niektóre dziedziny doczekują się niezwykłego rozkwitu, gdyż przychodzi nietylko odbudowa zniszczonych obszarów, lecz również chęć powetowania sobie niedostatków wojennych. I widzimy znowu poczynania wprost potworne dla utrzymania wysokich cen. Miljony ludzi chodzi we Francji bez butów i w łachmanach, gdyż cena podczas wojny była zbyt wysoka na ich kieszenie, a równocześnie Amerykanie olbrzymie magazyny, które mają we Francji, oblewają naftą i palą, aby nie być zmuszonymi towar za tanio sprzedać, a temsamem obniżyć dla siebie możliwości eksportu. Cukier dochodzi do niebywałych cen, mąka, masło również, bo ludzie mają dosyć reglamentacji i kartek, dosyć bezmięsnych dni, chcą się najeść do syta i bez ograniczeń. Z drugiej strony fabryki amunicji i sprzętu wojennego, które nietylko się zamortyzowały, lecz dały olbrzymie zyski, występują z żądaniem nowych kredytów dla przystosowania się do „pokoju“. Ustawy podatkowe od zysków wojennych, uchwalane na łeb na szyję, grożą, że pozostaną martwemi literami, o ile nie da się fabrykantom możności dalszego prowadzenia interesu. A przytem ciągle masowy szał, że wszelka produkcja się opłaca, z jednej strony, a groźba zamknięcia warsztatów z drugiej strony — jakaś obawa rewolucji, masowego bezrobocia, pcha rządy państw do coraz nowych eksperymentów, kończących się stale dopłatą państwa do przedsiębiorstwa.

Rynek zbytu był, jak się okazało, tak wielki, że wszystkie pomysły zdawały się urzeczywistniać. Powstał taki kult dla prosperity-programu, że wszelki głos ostrze-

gający był głosem wołającego na puszczy. Jednak już wkrótce, bo po niecałych 10 latach, okazało się, że nastąpił kres tego wyścigu, że ludzkość już nie jest w stanie ani spożyć produkcji, ani do niej dopłacać, że trzeba tę całą ideologję zlikwidować i wziąć się do klasycznych przedwojennych metod.

Polska jest jednym z niewielu krajów, które mogły wyjść cało z tego niebezpiecznego okresu. A jeżeli kryzys dzisiejszy na Polsce specjalnie ciężko się odbija, to jest temu winne nasze ustawodawstwo socjalne, podatkowe, agrarne, jest temu winna zbiorowa umysłowość polska.

Szałem produkcji podczas wojny Polska najmniej była dotknięta, a to dlatego, że tej produkcji „wojennej" nie było. Okupanci postarali się odjąć społeczeństwu polskiemu wszelkie środki produkcji, a nawet sam produkt. Była dzielnica pruska i Galicja, jako kraje mniej uprzemysłowione, nie wchodziły w grę. A na terenie Zagłębia i Kongresówki władze wojskowe wywiozły środki produkcji do Niemiec. Jedynym zyskiem wojennym był handel środkami spożywczymi oraz t. zw. paskarstwo, czyli ukrywanie towaru. Gdy przyszedł czas własnej państwowości, nie miała Polska ani nadmiaru rozbudowanych warsztatów, ani remanentów, które trzeba koniecznie spieniężyć. Miała natomiast ambicję prześcignięcia wszystkich państw w modernizacji urządzeń socjalnych, oświatowych, gospodarczych, nie posiadając dostatecznych rezerw ani materjalnych, ani umysłowych i dzisiaj płaci za to ruiną i materjalną i moralną.

Ruina moralna polega na tem, że wielkie zadania, któremi społeczeństwo obarczyło państwo, dały niedostateczne, a czasami wręcz przeciwne rezultaty, a środki, którymi społeczeństwo wyposażyło państwo, grubo przerastały możliwości finansowe tego społeczeństwa i spowodowały jego załamanie się materjalne.

Olbrzymia machina biurokratyczna, jakiej żadne społeczeństwo na świecie nie posiada i która wyssała już nie-

mal do ostatniej kropli zasoby społeczeństwa, była wynikiem zadań, jakiemi społeczeństwo rządy obarczyło. Wszak rząd miał dostarczać artykułów pierwszej potrzeby (Puzapp), miał zaopatrywać armję (Guza), miał uspołecznić handel (kooperatywy), miał dostarczyć środków obrotowych (banki państwowe), miał odbudować spalone osiedla, budować szkoły, kanały (odbudowa i Min. Robót Publ.), miał tworzyć komunikacje (upaństwowienie nielicznych kolei prywatnych), miał dostarczyć ziemi dla chłopa, miał wytworzyć zastępy inteligencji, miał rozbudować telefony, miał stworzyć własny przemysł metalowy, górniczy, chemiczny, drzewny, miał dać oświatę ludowi, wyższą, niż gdziekolwiek, miał obywatelowi dostarczyć pracy lub zapomogi, miał go leczyć, zapewnić mu rentę na starość, nieledwie miał go uczyć myśleć, czuć i nos ucierać! Cóż więc dziwnego, że każda nowa ustawa powodowała konieczność dostarczenia nowych środków. Cóż dziwnego, że zniszczona wojną, zubożała Rzeczpospolita Polska nie mogła inaczej tym wymaganiom zadość uczynić, jak czerpiąc pełnemi garściami z prywatnego kapitału. Że produkcja odrazu się nie zatknęła, zawdzięcza to tylko inflacji. Świadczenia nadmierne powodowały zadłużenie, zadłużenie amortyzowało się inflacją, więc w gruncie rzeczy produkcja wnet się spostrzegła, że ktoś inny za nią płaci i wskutek tego niedostatecznie świadczeniom się oparła. Jak przyszła stabilizacja złotego, było już zapóźno. Gmach biurokratyczny był tak wielki, tak przeniknął we wszelkie dziedziny życia, że niepodobna go było zburzyć bez silnych wstrząsów społecznych. Wiemy wszyscy, że demobilizacja jest zawsze trudniejszą od mobilizacji. Trudniej ludzi zwalniać i skazywać na biedę, niż dawać im nowe stanowiska. Wiemy wszyscy, jakie wrzenia wywołują wszelkie kompresje budżetu. Doświadczyliśmy tego w r. 1926 i w r. 1931, a dziś jeszcze nie jesteśmy u mety.

Te powody skłoniły produkcję do

r a t o w a n i a s i ę w z m o ż e n i e m w y d a j n o-ś c i. Zdawało się produkcji, że odkryła niezawodny sposób podołania nadmiernym podatkom i świadczeniom. Sprzedaż ponad normę zwykłego budżetu miała to wszystko pokryć. Eksport był tym magicznym słowem, które miało wszystkiemu zaradzić; a zatem inwestycje bez kalkulacji i sensu, coraz większe zadłużanie się, wzmożenie produkcji rolnej, szastanie kredytami. Wszystko to miała pokryć ta nadwyżka produkcji, za którą miało się otrzymać te dolary, franki, funty, które w tej chwili wywoziło się zagranicę na nowe inwestycje. Pamiętamy wszyscy oburzenie rolników, gdy rząd zabronił sprowadzać saletrę chilijską. Jak to, wszak on tę samą saletrę z zyskiem wywiezie w formie cukru i jęczmienia!

Dość okiem rzucić na nasze roczniki statystyczne, aby się przekonać, że zwiększony wywóz powoduje jeszcze bardziej zwiększony przywóz, że zadłużenie wzrasta w miarę możności eksportowych i powiększania się budżetu. Kurczenie się budżetu powoduje automatyczne zmniejszenie się przywozu, a temsamem oddłużenie państwa w stosunku do zagranicy.

I dlatego słowo „Dyktatura produkcji“ powinno być zastąpione słowem „Program oszczędności“. Zrzucenie wszelkich zbędnych funkcji z ramion państwa, oszczędność w szafowaniu groszem publicznym, wzbogacanie się społeczeństwa, spowodują tę zmianę, o którą produkcji chodzi. Zamiast n i e w o l n i k a, pracującego dla produkcji, jak w Rosji, wytworzy się k l i j e n t a, który tę produkcję będzie mógł zakupić. Zamiast kartelu, który dyktuje, przyjdzie kupiec, który ofiaruje towar do kupna. Zamiast klijenta, który m u s i kupić to, bez czego nie może się obyć, przyjdzie klijent, który będzie c h c i a ł kupić to, co jest mu potrzebne. Nie można skartelizować np. żelaza i cementu i wymagać, żeby społeczeństwo budowało po takich cenach, że nikt za mieszkanie nie będzie w stanie zapłacić,

bo niewątpliwie zacznie społeczeństwo budować z materjałów nieskartelizowanych, t. j. z wapna, drzewa i cegły, gdyż będzie to jedyne mieszkanie, które się opłaci. Będzie mniej „modern“, ale dostępne, gdy tamto, nowoczesne, pozostanie w dziedzinie mrzonek.

Alfred Jankowski.

SPRAWA SREBRA.

(Dokończenie). *)

7. SREBRO W POLITYCE STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Po przyjęciu przez Senat waszyngtoński uchwał w sprawie srebra rozpoczyna się niezwykle intensywna akcja na terenie międzynarodowym, zdążająca ku realizacji tych uchwał. Reżyserem akcji w dalszym ciągu jest komisja do spraw srebra pod przewodnictwem senatora Pittmana. Sam przewodniczący zostaje delegowany do Chin, inni członkowie komisji, senatorowie o głośnych nazwiskach, jak Swanson, Shipstead, Johnson, udali się do Europy. Począwszy od maja ub. r., poważna prasa światowa jest usłużnym instrumentem tej „po amerykańsku" zorganizowanej propagandy. Podkreślić tu bowiem musimy, że nad tym istotnie tragicznym problemem srebra unosi się w mniemaniu pewnych sfer cień prywaty, egoistycznych interesów amerykańskich producentów białego metalu, którzy na spadku ceny srebra ponoszą osobiste straty. Wybitni i najbardziej czynni członkowie tej komisji, jak senatorowie Borah, Pittman, William H. King i inni, reprezentują właśnie w Waszyngtonie Stany zachodnie, które produkują największe ilości srebra. Latem senator Pittman był już tak pewny pomyślnych rezultatów swej akcji propagandowej, że nie wahał się wyznaczyć terminu poświęconej sprawie srebra konferencji międzynarodowej. Miała się ona odbyć późną jesienią ub. roku. Kreśląc więc kilka miesięcy temu krótką historję powstania i rozwoju problemu srebra, celem naszym było wprowadzenie i przygotowanie polskiej opinji publicznej do tej projektowanej konferencji. Przebieg jednak wypadków o charakterze ostrzejszym, jak konferen-

*) P. „Nasza Przyszłość", Nr. grudniowy 1931 r.

cja morska w Londynie, bankructwo Niemiec, rewolucja walutowa w Europie, reparacje i długi wojenne, zatarg japońsko-chiński, konferencja rozbrojeniowa etc., pokrzyżowały plany komisji senackiej w Waszyngtonie i narazie los międzynarodowej „konferencji srebrnej“ jest niewiadomy. Nie znaczy to bynajmniej, że sprawa srebra została wyeliminowana z porządku dziennego obrad i zabiegów sfer zainteresowanych.

Przeciwnie, akcja toczy się nadal z niesłabnącem napięciem, odzwierciedlając najróżnorodniejsze poglądy teoretyczne oraz interesy praktyczne poszczególnych sfer, grup. państw i kontynentów.

Podejmując inicjatywę uregulowania wartości srebra w skali światowej, Stany Zjednoczone kierują się nietylko tymi względami, jakie zostały wyłuszczone w dwóch przytoczonych rezolucjach Senatu waszyngtońskiego. Rezolucje te przemilczały o trzech względach, mających doniosłe znaczenie dla całokształtu gospodarki Stanów. Pierwszy wzgląd, o którym już wspomnieliśmy, to istotne interesy amerykańskich producentów srebra. Spadek ceny srebra, będącego produktem ubocznym w metalurgji miedzi, cynku i ołowiu, wprowadza chaos kalkulacyjny w tę gałąź wytwórczości, która tysiącami nici wiąże się z całą gospodarką narodową i światową. Dążenia tych producentów do rewaloryzacji srebra, do pewnej stabilizacji jego ceny rynkowej, są zupełnie zrozumiałe, jak zrozumiałym jest wysiłek rolników, skierowany ku podniesieniu cen płodów rolnych.

Drugi wzgląd, o którym nietylko rezolucje senackie, ale i prasa amerykańska przemilczała, to interesy skarbu Stanów Zjednoczonych. Dla przeciętnego Europejczyka będzie to rewelacją, jeżeli się dowie, że Stany Zjednoczone mają najbardziej skomplikowany system monetarny na świecie, z wyjątkiem chyba tylko Chin, gdzie pod tym względem panuje jeszcze zupełny chaos. Jest rzeczą wprost nie do wiary, że ten wszechwładny papierowy dolar, bę-

dący wzorem dla wszystkich innych walut, jest monetą tak dalece zróżniczkowaną pod względem uprawnień oraz podkładu kruszcowego! Z drugiej strony Ameryka od czasu wojny uprawia najciekawszy eksport — eksport ekspertów finansowych, walutowych, skarbowych. Niema już zakątka ziemi, gdzieby ci amerykańscy rzeczoznawcy nie reorganizowali, sanowali i upraszczali systemów monetarnych i aparatów fiskalnych. Mają oni już ustalone zasady i gotowe wzory, zaczerpnięte z rozległej wiedzy ekonomiczno-finansowej, które przepisują swym pacjentom, cierpiącym w większości wypadków na zgoła inne choroby i niedomagania, niż na brak „systemów naukowych". Gdyby cisami eksperci, powodowani żądzą wielkich doświadczeń naukowych, zechcieli naprzykład żywcem przenieść cały system skarbowo-monetarny wraz z jego zawartością z Waszyngtonu do Londynu lub Berlina, niedługo czekalibyśmy na widowisko pełnego krachu tego systemu amerykańskiego. Tu inni eksperci — etatystyczni i socjalistyczni dysponenci skarbu i dóbr narodowych — postaraliby się rychło o „sprawiedliwy podział" tych dóbr oraz o bankructwo skarbu.

Skarb rządu federalnego w Stanach Zjednoczonych, w odróżnieniu od skarbów państw europejskich, jest bardzo wybitną instytucją emisyjną. Jego rezerwy kruszcowe znacznie przewyższają nawet rezerwy złota w systemie banków Rezerwy Federalnej (Federal Reserve Banks), które, jak wiadomo, pełnią funkcje banków emisyjnych w stolicach państw innych. W związku z interesującym nas tematem ograniczamy się tylko do wykazania, że skarbiec Stanów Zjednoczonych posiada około 500 miljonów dolarów srebra, które służy jako stuprocentowe pokrycie dolarowych biletów papierowych, t. zw. certyfikatów srebrnych, mających w obiegu wartość, równą certyfikatom złotym, a więc wszystkim innym rodzajom dolarów papierowych, wymienialnych bez ograniczenia na efektywne złoto. Ten srebrny dolar Stanów Zjednoczonych, t. zw. standard

silver dollar, który jest dotychczas pełnowartościową monetą, kursuje narówni ze złotem i stosunek jego wagi do złota jest jak 16 do 1 (ściśle: 15,988 : 1). Oprócz tych dolarów srebrnych, znajduje się w obiegu i częściowo w skarbcu bilon srebrny w ilości zgórą 300 miljonów dolarów. W sumie więc system monetarny Stanów Zjednoczonych, który jest oparty na klasycznej walucie złotej, posiada zgórą 800 miljonów dolarów srebra, pośrednio wymienialnego na złoto, według ustalonego prawnie parytetu. Otóż ten olbrzymi majątek rządowy stałby się niemniej olbrzymią fikcją, gdyby Stany Zjednoczone były zmuszone użyć tego metalu w swych rozrachunkach międzynarodowych, jak to są zmuszone czynić kraje srebrne. Dolar srebrny w Ameryce posiada swoją wartość, równą dolarowi złotemu, tak długo, dopóki go chroni ustawa, a raczej złoto amerykańskie. Z chwilą jakiejś katastrofy walutowej, podczas której Ameryce brakłoby złota dla zbilansowania swych rozrachunków zagranicznych, obecna fikcja srebrna Ameryki kosztowałaby ją około 600 miljonów dolarów, cały jej bowiem zapas monet srebrnych trzeba byłoby obliczyć według cen rynkowych srebra, a nie według jego wartości ustawowej, sztucznej. Przy obecnym parytecie prawnym (16 : 1) cena srebra, zawartego w dolarze amerykańskim, wynosi około dol. 1.20 za 1 uncję, podczas, gdy cena rynkowa waha się obecnie około 30 cent. Ta „fikcja srebrna“ w zakresie fiskalnym sztucznie wzbogaca Amerykę czterokrotnie. Podobnie fikcyjnych bogactw gromadziła Ameryka bardzo wiele w postaci różnorakich papierów procentowych, które od czasu wielkiej katastrofy giełdowej z końcem 1929 roku obniżyły swą wartość dwu i trzykrotnie. Jeżeli więc Senat waszyngtoński tak energicznie forsuje sprawę srebra, ma ku temu, z punktu widzenia interesów fiskalnych, a więc ogólno-państwowych, powody bardzo poważne.

Ciekawy szczegół, rzucający nowe zupełnie światło na sprawę srebra, w stosunku do krajów srebrnych, przyta-

cza w jednym ze swoich artykułów senator Pittman. Będąc w Chinach, wygłaszał on odczyty propagandowe na rzecz uregulowania sprawy srebra, w myśl uchwał Senatu waszyngtońskiego. Głównym punktem tych uchwał była propozycja udzielenia Chinom wielkiej pożyczki w postaci srebra amerykańskiego, które, jak widzimy z powyższego, jest nietylko ciężarem dla skarbu amerykańskiego, ale tai w sobie niebezpieczny zarodek katastrofy walutowej. W dyskusji, jaka się wyłoniła po jednym z odczytów senatora Pittmana, zabrał głos pewien bankier chiński. Podzielając poglądy senatora co do przyczyn gwałtownego spadku cen srebra oraz co do skutków, jakie spadek ten wywołał w krajach złotych, bankier ten, z punktu widzenia interesów gospodarki narodowej Chin, doszedł do wręcz przeciwnych wniosków, niż to usiłowała przedstawić rezolucja Senatu waszyngtońskiego. Finansista chiński, trzymając się ściśle logiki faktów, odpowiedział senatorowi Pittmanowi w ten sposób:

„Nasz dolar srebrny zawiera taką samą ilość srebra, jak i wasz (amerykański) dolar srebrny. Wasz dolar srebrny posiada w Stanach Zjednoczonych wartość nominalną, utrzymuje się on na parytecie; tak samo i nasz dolar srebrny posiada w Chinach swą wartość nominalną i utrzymuje swój parytet. Pobieramy za naszą pracę i nasze produkty taką samą ilość dolarów srebrnych, jakąśmy otrzymywali wtedy, kiedy cena srebra była dwukrotnie wyższą. Wy nie przyjmujecie w drodze wymiany naszych dolarów srebrnych za wasze dolary według parytetu, według ich wartości nominalnej. Zgadzacie się jedynie przyjmować nasz pieniądz srebrny według wartości zawartego w nim srebra. Ponieważ dolar zawiera około 78/100 uncji srebra, a cena jednej uncji wynosi obecnie na rynkach światowych 30 centów, przeto wy przy wymianie waszych dolarów na nasz dolar srebrny oceniacie go tylko na 23 centy *). Oznacza

*) Parytet dolara srebrnego w Stanach Zjednoczonych, jak to wynika z naszych poprzednich wyjaśnień, równa się 100 centom złotym.

to, że my jesteśmy zmuszeni przy wymianie naszej waluty na waszą płacić blisko pięć dolarów srebrnych za jednego dolara waszego, aby być w stanie opłacić ceny waszych towarów. W takich warunkach nie możemy sobie pozwolić na kupowanie waszych towarów; nie kupujemy ich też, chyba, że nas konieczność do tego zmusza. Nie podzielam zdania senatora, jakoby nam to w Chinach wychodziło na złe. Przeciwnie, ten stan rzeczy spowodował nawet pewną pomyślność w Chinach. Zmusza to ludność naszą do nabywania wyrobów krajowych. Tym sposobem ściągamy do Chin złoto z Ameryki, z Japonji, z Anglji oraz z innych krajów o walucie złotej. Złoto to zostaje wymienione na nasze tańsze srebro, zapomocą którego opłaca się naszą tanią robociznę, buduje się tkalnie bawełniane, fabryki tytoniowe, młyny parowe, hotele, domy mieszkalne i wiele innych zakładów przemysłowych w celu zaspokojenia potrzeb naszej ludności. Oto przyczyna naszego wzmożonego ruchu budowlanego oraz ogólnej pomyślności, jaką można zaobserwować we wszystkich większych miastach na wybrzeżu morskiem Chin".

Skonfrontowaliśmy zatem dwie sprzeczne ze sobą tezy ekonomiczne o wpływie spadku cen srebra na gospodarkę Chin. Posiadacze nadmiaru srebra, Stany Zjednoczone, twierdzą i twierdzenia swoje popierają rzeczowymi argumentami, że Chinom dzieje się krzywda, że polityka zarówno Wielkiej Brytanii w Indjach, jak i wszystkich innych państw europejskich, które demonetyzują srebro, skazuje Chiny i wszystkie inne kraje srebrne na nędzę, pauperyzację i rewolucję socjalną. Rzecznik tych krajów srebrnych z iście chińską determinacją odpiera te obawy i ubolewania amerykańskie wręcz oświadczając, że przeciwnie, spadek wartości srebra jest czynnikiem pożądanym, nawet twórczym w rozwoju gospodarczym tych skazanych rzekomo na zagładę krajów.

Kto ma rację, która z tych dwóch tez wytrzyma próbę głębszej analizy naukowej? Oto jeden z tysięcy

problemów życia współczesnego, który tak dalece poplątał pojęcia racji i prawdy, nauki i wiedzy, iż tylko życie samo w toku swych nieprzerwanych, permanentnych doświadczeń i prób przygotowuje pewną i nieomylną odpowiedź na nasze pytanie. W oświadczeniu bankiera chińskiego tkwi jednak jądro niezmiernie budującej prawdy. Oto wbrew poważnym naukowym badaniom senatu amerykańskiego, wbrew jego racjonalnym, a raczej racjonalistycznie skonstruowanym planom wielkiej naprawy świata na podłożu srebra, siły ekonomiczne, ucieleśnione w pieniądzu, w walucie, w złocie i w srebrze, wypełniają swoje przeznaczenie, skierowując przedsiębiorczość ludzką w te kanały i rezerwuary, gdzie ją czeka nagroda za pracę i inwencję, za ryzyko i inwestycje. Wszakże naprzekór nędzy i rewolucji płynie do Chin ten zawsze pełen niespodzianek metal żółty, który według oświadczenia finansisty chińskiego galwanizuje całą rasę żółtą. I dzieje się to bez konferencji międzynarodowych, bez interwencji rządowych i bez planów ratyfikowanych. Kupiec, przemysłowiec, bankier i transportowiec, każdy w swoim zakresie, szukając interesów i zysków na całym świecie, przejawiając niezmordowanie inicjatywę i energię, znajduje i zawsze znajdować będzie zastosowanie dla swej pracy i dla swych kapitałów z korzyścią nietylko swoją własną, ale i ogólną.

Trzeci wreszcie wzgląd, pobudzający Amerykę do salwowania srebra, to wzgląd natury politycznej. I o nim także zarówno rezolucje waszyngtońskie, jak i prasa amerykańska, zachowują dyskretne milczenie. Chodzi tu o wielką grę w polityce światowej. Chiński kolos, to potencjalny konsument dla amerykańskiego producenta. Od chwili, kiedy przemysł amerykański zaczął przerastać potrzeby rynku wewnętrznego, kierunek jego ekspansji stale zdąża na Daleki Wschód. Początkowo jest to raczej wywiad, wywiad cywilizacyjny w najlepszem tego słowa znaczeniu. Gdy Rockefeller senior pierwszy zaczął oświetlać Chiny swą lampą naftową, Rockefeller junior oświeca już

cały Daleki Wschód szkołami, bibljotekami i uniwersytetami. Filantropja, misjonarstwo, Y. M. C. A., ekspedycje naukowe, profesorowie, lekarze i wychowawcy penetrują stale wszystkie zakątki Państwa Niebieskiego, przygotowywując grunt dla posiewu ich wielkiego businessu. Tej silnej dyfuzji psychicznej, kulturalnej i ekonomicznej, jaka pomiędzy Ameryką a Chinami odbywa się już od kilku dziesiątków lat, nie jest w stanie przerwać ani Rosja sowiecka, czy carska, ani Japonja, ani Anglja, ani tembardziej żadne inne państwo. Zagospodarowanie Chin jest niejako celem i głęboko uświadomionym obowiązkiem Stanów Zjednoczonych. Czują one w sobie jakiś przymus misji dziejowej już nie zeuropeizowania, lecz zamerykanizowania Azji. Jeśli istnieją w rzeczy samej pomiędzy Ameryką a Japonią pewne linje i płaszczyzny tarć, o czem często w polityce światowej się mówi, to przebiegają one narazie nietyle po ciele kolosa chińskiego, w znaczeniu zdobycia lub podziału rynku zbytu, ile wiją się w sferze ducha narodowego Chin dla osiągnięcia sympatji, współpracy intelektualnej i w rezultacie supremacji cywilizacyjnej. Są takie zaindyczone teorje, które te tendencje, taki pęd rozwojowy narodów, przodujących w pracy, określają potępieńczem mianem imperjalizmu. Imperjalizm Rosji carskiej, skierowany na zachód, przeciwko Polsce, był zbrodnią wobec cywilizacji ludzkiej. Imperjalizm Wielkiej Brytanji, skierowany na wschód i za oceany, był dobrodziejstwem dla świata. Nie skrywajmy więc faktu, że stosunek Ameryki do Chin jest stosunkiem imperjalistycznym, z którego jednak obie strony potrafią wyciągnąć dla siebie maksimum korzyści, bez uszczerbku dla świata.

Jednym tedy z przejawów tak pojętego imperjalizmu Stanów Zjednoczonych jest niewątpliwie akcja Senatu waszyngtońskiego w sprawie srebra. Srebro, jako pieniądz, srebro, jako metal, wreszcie srebro, jako instrument polityczny, ma być tym środkiem w rękach Ameryki, który wciągnie Chiny w orbitę współczesnego uprzemysłowienia

i uspołecznienia na miarę kultury zachodniej. Ktoby sądził, że taka tendencja imperjalizmu amerykańskiego zawiera w sobie czynniki, ujemne dla układu socjalnego świata i dla harmonijnego rozwoju ludzkości, ten ma do wyboru jedną tylko, alternatywną, tendencję, mianowicie teorję Lenina o ludach Wschodu. Polega ona na budzeniu nacjonalizmów i wzniecaniu walki klas. Świat ma tedy do wyboru dwie drogi: imperjalizm zachodni oraz leninizm wschodni. Obie te drogi wbiły się już ostrym klinem w ciało Azji, wywołując w niej kataklizm moralny i ustrojowy. Cała Azja, wskutek tego, znajduje się w fazie ostrych bólów porodowych, z której musi się wyłonić zdecydowane zwycięstwo jednej z dwóch idei cywilizacyjnych. Mężowie stanu Ameryki zdają sobie doskonale sprawę z tragicznej powagi sytuacji i w miarę możności, zależnie od warunków wewnętrznych i stosunków międzynarodowych, konsekwentnie i wytrwale urzeczywistniają swoje zadanie. Że sprawa srebra jest tylko jednym ze środków, wiodących Amerykę do celu, do pozyskania Chin dla kultury zachodniej, świadczy o tem inny projekt o znaczeniu światowem, który ze względu na wyjątkową aktualność w dobie obecnej, zasługuje na najkrótsze bodaj omówienie.

8. PROJEKT PROF. MONROE'GO.

Dr. Paul Monroe, profesor uniwersytetu Columbia, jest wybitnym działaczem społecznym w Stanach Zjednoczonych. Będąc znakomitym znawcą Chin, piastuje on godność prezesa t. zw. Fundacji Chińskiej. Fundacja ta powstała z funduszów, jakie rząd chiński winien był rządowi Stanów Zjednoczonych z tytułu odszkodowań za wojnę bokserską. Kongres waszyngtoński w 1924 r. zrzekł się uroczyście tej indemnizacji na korzyść narodu chińskiego pod warunkiem, że sumy, preliminowane na spłaty długu, zostaną obrócone na krzewienie kultury i oświaty. Jest

to jeden z tych mądrych i przewidujących kroków Ameryki, które ją wprowadzają w „otwarte drzwi" polityki chińskiej przed wszystkiemi innemi państwami świata *). Prof. Monroe jest także członkiem rady Fundacji Kościuszkowskiej, zainicjowanej przez prof. Stefana Mierzwę.

W tym samym czasie, kiedy Senat waszyngtoński debatował nad sprawą srebra i uchwalał rezolucję, idącą w kierunku okazania pomocy finansowej Chinom w postaci wielkiej pożyczki w metalu srebrnym, prof. Monroe bawił wówczas w Chinach i badał problem pacyfikacji i uprzemysłowienia Chin zgoła z innego końca. Złożył on w początkach roku ubiegłego rządom w Waszyngtonie i Nankinie swój memorjał, który z uwagi na niezmiernie aktualny temat — traktuje bowiem o jednoczesnem rozwiązaniu innego światowego i niemniej tragicznego problemu, jakim są długi wojenne i reparacje niemieckie — uważamy za wskazane przytoczyć w głównych jego punktach. Plan prof. Monroe'go jest tem ciekawszy, że Chiny w roku ubiegłym opracowały już teoretycznie coś w rodzaju „diesiatiletki", na olbrzymią miarę zakrojony program rozbudowy gospodarczej kraju, który to program w ogólnych zarysach obiegł już latem prasę europejską.

Prof. Monroe, opierając się na przesłankach politycznych i socjalnych, oświadcza, że o ile w najbliż-

---

*) P. Władysław Studnicki w pracy swej „Rosja Sowiecka w polityce światowej" („Nasza Przyszłość", styczeń 1932 r., str. 79) przypomina, że Sowiety w stosunku do Chin uczyniły podobny gest, uwieczniony w traktacie rosyjsko-chińskim z października 1924 r. Czytamy: „Część kontrybucji bokserskiej, przyznanej Rosji, miała iść na cele oświatowe Chin i komisja, składająca się z 2 Chińczyków i jednego przedstawiciela Sowietów, miała dysponować tą kwotą". W celu stwierdzenia, że Rosja sowiecka pospieszyła śladami Ameryki, a nie odwrotnie, wyjaśniamy, iż Kongres waszyngtoński powziął odnośną uchwałę już w dn. 11 maja 1924 r. zrzekając się sumy zgórą 6 miljonów dol. Nie był to zresztą pierwszy akt wspaniałomyślności rządu waszyngtońskiego. Już przed wojną Ameryka na ten sam cel zwróciła Chinom z kontrybucji bokserskiej zgórą 12 miljonów dolarów. Fakty te świadczą o wyrafinowanem współzawodnictwie dwóch mocarstw światowych na gruncie Chin.

szym czasie nie zostanie poczyniony jakiś wyjątkowo twórczy wysiłek, Chiny staną się terenem komunistycznego chaosu, pozbawionego przytem nawet tego pierwiastka konstruktywnego, jaki istnieje w warunkach Rosji sowieckiej. Jedynym czynnikiem, mogącym zapobiec tej klęsce, jest silny rząd centralny z jasnym i wyraźnym programem działania. Taki jednak rząd będzie miał szanse istnienia w tych tylko warunkach, jeżeli zdoła zdemobilizować liczne, wzajem zwalczające się armje różnych możnowładców chińskich i zapewnić tym zdemobilizowanym masom ludowym pracę i zarobek. W tym celu program rządu powinien przewidywać budowę dróg żelaznych i szos automobilowych, mostów, systemów irygacyjnych oraz drenażowych, kanałów, portów, doków i t. d. Na to wszystko jest potrzebny dopływ olbrzymich kapitałów zzewnątrz. Stoi temu na przeszkodzie do cna zwichnięty kredyt Chin. Bankierzy i finansiści międzynarodowi — zdaniem prof. Monroe'go — skłonni są raczej zgodzić się z całkowitem zbolszewizowaniem Chin, aniżeli ponosić ryzyko udzielania im pożyczek. W tej beznadziejnej sytuacji kredytowej upatruje autor projektu ratunek w reparacjach niemieckich. Podziela on zdanie tych, którzy nie wierzą w całkowite wykonanie planu Younga, a wtedy i długi wojenne wobec Stanów Zjednoczonych staną pod wielkim znakiem zapytania. Proponuje zatem prof. Monroe pewna reformę planu Younga w tym sensie, ażeby annuitety zarówno niemieckie, jak i długów wojennych, przekształcać w permanentną pożyczkę dla Chin. Niemcy, zamiast płacić głównie Francji i Anglji, uiszczałyby przeważnie w naturze — w fabrykatach — swe raty reparacyjne na rzecz Chin. Ameryka przyjmowałaby od rządu chińskiego obligacje na sumę płaconych przez Niemcy kwot i ze swej strony kredytowałaby w tej wysokości swoich dłużników — Francję i Anglję, te zaś państwa kredytowałyby odpowiednio swego wspólnego dłużnika — Niemcy.

Podkreśla autor projektu, że w ten sposób otworzył-

by się dla przemysłu niemieckiego olbrzymi rynek zbytu, gdyż Niemcy, o ile mają być dłużnikiem wypłacalnym, jedynie tylko w postaci swych towarów długi swoje spłacać mogą. Innej alternatywy przed sobą nie mają. Ameryka, jako rynek zbytu dla przemysłu niemieckiego, jest odgrodzona murem celnym; wywóz do Rosji sowieckiej idzie na rękę komunizmowi zarówno w Rosji, jak i w Niemczech; inne rynki europejskie odgradzają się także od przywozu niemieckiego. W takich warunkach trudno wymagać, aby Niemcy wywiązywały się skutecznie ze swych zobowiązań. Rynek chiński stworzyłby nowe możliwości dla eksportu niemieckiego, przyczyniłby się temsamem do wypłacalności i uspokojenia politycznego narodu niemieckiego. Z drugiej zaś strony, olbrzymie miljony ludności chińskiej znalazłyby pracę i zarobki, podniosłaby się stopa życiowa tej ludności, zrodziłoby się zapotrzebowanie na artykuły codziennego użytku i w ten sposób inne narody wzięłyby także udział we wzmożonej wymianie handlowej z Chinami.

Z punktu widzenia politycznego, prof. Monroe podkreśla, że plan jego wyklucza jakąkolwiek interwencję państw obcych w wewnętrzną politykę rządu chińskiego. Wyobraża on sobie, że dla administrowania tą skomplikowaną pożyczką musiałby być powołany do życia jakiś organ, złożony z przedstawicieli państw zainteresowanych, atoli działalność jego ograniczałaby się ściśle do technicznego nadzoru nad wykonywaniem programu gospodarczego, oraz do zachowania ładu i porządku w miejscowościach, objętych nowemi inwestycjami.

W zakończeniu swego memorjału, wyraża prof. Monroe opinję, że najpoważniejszych przeszkód w realizacji tego planu spodziewa się ze strony rządu Stanów Zjednoczonych. Czy Kongres waszyngtoński zgodzi się na zamianę obligacji najpoważniejszych mocarstw europejskich na obligacje zbankrutowanych Chin? Sądzi on jednak, że głębokie konflikty europejskie, wynikające nieprzerwanie na tle

reparacji i długów wojennych, nie gwarantują większej pewności, niż odradzające się do nowego życia gospodarczego Chiny, które w interesie całego świata wymagają szybkiej i wydatnej pomocy.

Zaznaczyć należy, że plan prof. Monroe'go, wiążąc organicznie odszkodowania niemieckie z międzysojuszniczymi długami wojennymi, godzi w naczelną i stale od początku do końca głoszoną zasadę rządu waszyngtońskiego, który żadnego związku pomiędzy obu kategorjami zobowiązań przyznawać nie chce. Przyszłość pokaże, czy Waszyngton znajdzie wyjście honorowe z tej sytuacji, o ile wogóle uzna ten projekt za realny i za możliwy do przeprowadzenia w gronie wszystkich zainteresowanych kontrahentów. Ze swej strony przypominamy, że istota planu prof. Monroe'go nie jest nowością w problemie rozrachunków powojennych. Zasadę uiszczania reparacji niemieckich w towarach i usługach, jako jedynie możliwą drogę dla Niemiec, wygłosił już bardzo autorytatywnie kongres Międzynarodowej Izby Handlowej, odbyty w Brukseli w 1925 r. A przecież w jej łonie zrodziła się i dojrzała idea planu Dawesa, która jest podstawą wszystkich zobowiązań powojennych. Z całego szeregu praktycznych dezyderatów Izby w tej sprawie jeden zwłaszcza zasługuje na szczególną uwagę w związku z planem prof. Monroe'go. Treść jego brzmi: „Należy realizować wielkie projekty inwestycyjne w zakresie robót publicznych w krajach, które nie są wierzycielami Niemiec, oraz w kolonjach państw aljanckich, przez częściowe finansowanie ich zapomocą niemieckich spłat reparacyjnych".

Podobne tezy zostały wypowiedziane na ostatnim, majowym, zjeździe Międzynarodowej Izby Handlowej w Waszyngtonie. W specjalnym, przygotowanym na zjazd raporcie, sporządzonym wprawdzie przez Niemca, dr. Bernarda Dernburga, b. ministra finansów Rzeszy, sformułowano m. in. dwa możliwe sposoby ułatwienia spłaty długów:

1. Należy umożliwić zwiększenie wywozu towarów

z krajów dłużniczych przez obniżenie barjer celnych, hamujących obecnie ten wywóz.

2. Należy zasilać kredytem te części świata gospodarczego, gdzie istnieją nowe możliwości inwestycyjne.

Takie jednak rozwiązanie sprawy — dodaje sam autor raportu — tai w sobie nowe niebezpieczeństwo, wytwarza bowiem konkurencję dla uprzemysłowionych państw Europy, która siłą rzeczy spowoduje obniżenie zdolności płatniczej krajów dłużniczych.

Wyrażona w ostatniem zdaniu obawa jest słuszną raczej tylko w teorji. Praktyczny rozwój kultury, jej ekspansja na kraje zacofane, zdają się przeczyć temu twierdzeniu. Nie w braku spożycia tkwią trudności przeżywanego obecnie kryzysu, a w braku umiejętnego zorganizowania pracy ludzkiej na obszarach świata. Zapewne 90 procent ludności na kuli ziemskiej niedojada, nie mieszka należycie, nie ubiera się według swych prymitywnych nawet potrzeb. Czy wobec takiego oceanu niezaspokojonego spożycia słuszne są obawy Europy i Ameryki północnej o los ich przedsiębiorstw przemysłowych i aparatów handlowych? Słusznie podkreśla jeden z najwybitniejszych obecnie Amerykanów, N. Murray Buttler, rektor uniwersytetu Columbia (w Nowym Yorku), w swem przemówieniu, wygłoszonem kilka miesięcy temu w Paryżu: „Usiłujemy podchodzić do tych zadziwiających zagadnień (podobnych do tylko co sformułowanych), do tych zagadnień nowych, do zagadnień dnia jutrzejszego, z ideami i narzędziami dnia wczorajszego. Usiłujemy w dobie światła elektrycznego szukać dróg postępu gospodarczego ze świecą w ręku. Tego się nie da zrobić, gentlemen!". Czy rozum, doświadczenie i kapitał świata zachodniego nie są zdolne wciągnąć w orbitę potrzeb kulturalnych chociażby następne 10 procent ludności świata wschodniego, południowego i naszego własnego? A toż przecież na zaspokojenie wzmożonego spożycia nowych 200 miljonów ludności brakłoby narazie wszystkich maszyn Europy i Ameryki i dzisiejsza 15-miljonowa ar-

mja bezrobotnych zamieniłaby się wkrótce w nową armję, walczącą już nie o pracę, lecz o wyższe płace.

Kreśląc swój projekt, prof. Monroe nie zwrócił uwagi na jeden szczegół wtórny, na niezmiernie ciekawą i jedyną w swoim rodzaju możliwość konwersji długów zagranicznych Niemiec (reparacji) na dług o charakterze wewnętrznym. Cała bowiem technika spłat reparacyjnych odbywałaby się w taki mniejwięcej sposób schematyczny: przemysł prywatny niemiecki wykonywałby zamówienia dla Chin na zlecenie rządu Rzeszy, który pokrywałby też rachunki za wykonane zamówienia. Skarb państwa nie potrzebowałby już liczyć wyłącznie na dochody z budżetu, aby móc kryć te rachunki, lecz emitowałby specjalnie w tym celu obligacje wewnętrzne, na które niezawodnie znalazłby chętnych nabywców. W ten sposób część dochodu narodowego Niemiec, zamiast być przekazywana do Banku Rozrachunków Międzynarodowych na rachunek reparacji, pozostawałaby w kraju, jako dług publiczny Rzeszy wobec swych własnych obywateli. Dług ten powiększałby się stale, aż wreszcie Niemcy zbliżyłyby się pod względem zadłużenia wewnętrznego do Anglji, Francji i Stanów Zjednoczonych, które to państwa uginają się obecnie pod ciężarem wewnętrznych długów wojennych. Wydaje się, że Nemezis dziejowa znalazłaby w takiem rozwiązaniu problemu reparacyjnego jeżeli nie całkowite — co jest niepodobieństwem — to przynajmniej częściowe zadowolenie. A jednocześnie historyczna, stuletnia „doktryna Monroe“ ustąpiłaby miejsce niemniej historycznemu „planowi Monroe“.

9. ŚRODKI OPANOWANIA KRYZYSU SREBRA.

Projekt prof. Monroe'go, szukając rozwiązania trudności Chin zgoła innymi środkami, niż to czynią uchwały Senatu waszyngtońskiego, został przez wpływowych senatorów amerykańskich narazie zatuszowany i usunięty

z pola dyskusji międzynarodowej. Natomiast inicjatywa komisji sen. Pittmana wydała imponujące rezultaty w znaczeniu pobudzenia opinji publicznej całego świata. Spadek ceny srebra w stosunku do złota został już powszechnie uznany, jako jedna z ważniejszych przyczyn kryzysu światowego. Thomas W. Lamont, właściwy filar banku Morgana, widzi w niej jedną z sześciu głównych przyczyn kryzysu Cieszące się w Ameryce dużym autorytetem Stowarzyszenie Polityki Zagranicznej (Foreign Policy Association) wysuwa na podstawie specjalnie opracowanego referatu rezolucję, w której m. in. czytamy: „Aczkolwiek srebro jest tylko jednym z bardzo wielu towarów o zniżkujących cenach, to jednak spadek ceny srebra był wyjątkowo groźny, spowodował bowiem wielkie komplikacje dzięki temu, że metal ten służy na Wschodzie do celów monetarnych oraz do gromadzenia oszczędności... Pewna forma bimetalizmu, a przynajmniej przywrócenie praw srebru, jako metalowi monetarnemu, w przodujących krajach Zachodu, wydaje się jedynie możliwą i skuteczną metodą podniesienia jego wartości do poprzedniego poziomu, jakkolwiek środki te są najeżone poważnemi trudnościami... Jest rzeczą słuszną, aby obecni posiadacze zapasów srebra nie zostali poszkodowani na rzecz producentów srebra, z tego też względu jakikolwiekbądź plan stabilizacji lub zwyżki jego ceny powinien być uwarunkowany umową, regulującą i ograniczającą w granicach możliwości produkcję srebra... Jakkolwiek celowość zwyżki ceny srebra jest kwestją sporną, nie ulega jednak wątpliwości, że ustabilizowanie jej na pewnej stałej równi w stosunku do złota jest pożądanem z uwagi chociażby na to, że srebro jest miernikiem wartości w wielu państwach świata... Problem srebra w ostatecznym swym wyniku prowadzi do bardziej jeszcze zasadniczego pytania, mianowicie do celowości i użyteczności standardu złota w warunkach dzisiejszych“.

Propaganda na rzecz rehabilitacji srebra przekracza niebawem granice Stanów Zjednoczonych i znajduje po-

datny zwłaszcza grunt w Wielkiej Brytanji, a więc w kraju, którego rządy, w mniemaniu wielu ekonomistów, ponoszą główną odpowiedzialność za nierozważną politykę walutową w Indjach. Cały szereg wybitnych osobistości, jak sir Robert Horne, b. kanclerz skarbu, Henry W. A. Deterding, L. S. Amery i John M. Keynes, zabierają głos o konieczności przedsięwzięcia międzynarodowej akcji w celu przywrócenia srebru jego siły nabywczej. Najbardziej autorytatywną opinję pod tym względem wydała w Anglji w roku ubiegłym Brytyjska Misja Ekonomiczna dla Dalekiego Wschodu, której dezyderaty w zasadniczych punktach pokrywają się z uchwałami Senatu waszyngtońskiego. Z gotowym zupełnie projektem reformy walutowej dla wszystkich krajów Imperjum Brytyjskiego wystąpił jeden z dyrektorów Midland Banku, J. F. Darling. W celu pozyskania dla swego projektu Amerykanów, odbył on podróż do Waszyngtonu, gdzie przeprowadził rozmowy z członkami komisji senackiej do spraw srebra. Plan p. Darlinga polega na utworzeniu w Londynie nowego banku, superbanku, z oddziałami we wszystkich dominjonach, oraz w Indjach. Bank ten przejąłby rezerwy złota i srebra, jakie są w posiadaniu poszczególnych skarbów państwowych, oraz banków emisyjnych. Bank operowałby nową jednostką monetarną, nazwaną „Rex“, która byłaby tylko jednostką obliczeniową, buchalteryjną, w rozrachunkach pomiędzy różnemi częściami Imperjum Brytyjskiego, z tego też względu nie byłoby potrzeby zmieniać poszczególnych, obecnie istniejących, systemów pieniężnych. Bank nabywałby złoto po minimalnej cenie w stosunku 1 Rex za 113 gramów czystego złota, co odpowiada zawartości złota w jednym suwerenie. Srebro byłoby nabywane w stosunku 1 Rex za 2.260 gramów czystego srebra, czyli zostałby ustalony trwały parytet srebra do złota, jak 20 : 1. W ten sposób wartość Rexa byłaby niezmienną i całkowicie uniezależnioną od tego, czy będzie on reprezentował metal żółty czy biały. Rozrachunki i wyrównywanie sald pomiędzy

częściami Imperjum odbywałyby się poprostu zapomocą zapisów buchalteryjnych. Kosztowne przekazy i przewozy kruszców byłyby zbyteczne, tembardziej, że super-bank i jego oddziały nabywałyby złoto i srebro w miejscach jego wydobycia.

Projekt p. Darlinga zmierza w prostej linji do bimetalizmu w nowej formie. Z tego też zapewne względu nie znalazł on aprobaty w Stanach Zjednoczonych, gdzie od kilku dziesiątków lat istnieje zdecydowana niechęć do ustawowego oparcia pieniądza na obu metalach. Sen. Pittman zastrzega się bardzo wyraźnie przeciwko pomawianiu akcji senatu waszyngtońskiego o cele bimetaliczne. W zamierzeniach Komisji senackiej nic nie świadczy o tem, aby dążono do zmiany obecnego monometalizmu złotego. Jest to raczej akcja czysto handlowa, mająca na celu stworzenie większego i bardziej ustabilizowanego popytu na srebro monetarne. Z drugiej jednak strony, tak wpływowy w sferach producentów srebra senator King otwarcie potępia system waluty złotej, nazywając go egoistycznym z punktu widzenia interesów Ameryki i wogóle wierzycieli. „Bankierzy i wszyscy wierzyciele na świecie — powiada on — którzy posiadają w swych portfelach obligacje i inne w złocie płatne zobowiązania na miljardy dolarów, dążą do utrzymania możliwie wysokiej wartości złota, aby mogli uzyskać więcej towarów, więcej nieruchomości, więcej walorów w momencie umorzenia tych zobowiązań, aniżeli były one warte w chwili powstania tych zobowiązań. Standard złota jest głuchy na głos dłużników, nie widzi ciężaru ich zobowiązań, który przygniata i miażdży masy ludzkie na całym świecie".

Widzimy więc, jaki chaos wytworzył się około sprawy srebra. Cała gradacja poglądów i teorji, od klasycznego liberalizmu, opartego na wolnej grze podaży i popytu srebra w granicach waluty złotej, do starego, zaniechanego bimetalizmu, który w rozwoju systemów monetarnych nie wytrzymał próby życia i uległ sile złota. Nic przeto dziw-

nego, że w dążeniu do przezwyciężenia tego chaosu zwolennicy najsprzeczniejszych nawet teorji zgadzają się na jednym punkcie, mianowicie na zwołaniu konferencji międzynarodowej, od której oczekują jasnych i wyraźnych odpowiedzi na cały szereg praktycznych zagadnień.

Najwięcej w tym kierunku pokładano nadziei na kongres Międzynarodowej Izby Handlowej, jaki się odbył w Waszyngtonie w maju ubiegłego roku. Na kilka dni przed tym kongresem odbył się zjazd Izby Handlowej Stanów Zjednoczonych, organizacji tak dalece wpływowej, że często stanowi ona poboczny organ władzy, zwłaszcza w sprawach czysto gospodarczych, obok władzy rządu waszyngtońskiego. Zjazd ten uchwalił rezolucję o konieczności niezwłocznego zwołania konferencji światowej w sprawie srebra i upoważnił swoje organa wykonawcze o domaganie się podobnej rezolucji od kongresu Międzynarodowej Izby Handlowej. Istotnie, kongres Izby Międzynarodowej powziął uchwałę, w której zobowiązuje wszystkie komitety narodowe do poczynienia odpowiednich kroków w swoich rządach, aby konferencja taka zwołana została w bieżącym jeszcze roku (t. j. w 1931 r.). Wszystkie te wysiłki jednak spełzły na niczem. Prezydent Hoover dał oficjalną odpowiedź w tym duchu, że po porozumieniu się z rządami najbardziej zainteresowanych państw, uważa zwołanie takiej konferencji nie na czasie.

Gdy zatem brakło tego środka ratowniczego, jakim miała być konferencja międzynarodowa, rozpoczął się bardzo ciekawy i znamienny proces autoregulacji sprawy srebra. Jak się wyraził jeden z dyrektorów wielkiego banku amerykańskiego, Irving Trust Company, George W. Leman: „If nothing is done for silver, it will eventually take care of itself". Widzieliśmy już poprzednio na przykładzie gospodarki Chin, jak zdewaluowane srebro staje się atrakcją dla drogiego złota Zachodu i w drodze tej naturalnej gry sił ekonomicznych powstaje ożywienie gospodarcze w Chinach. Drugim takim znamiennym faktem jest obecna faza

działalności poszczególnych czynników, które, nie mogąc doczekać się rozwiązania problemu srebra na obranej drodze konferencji międzynarodowej, znajdują inne, wiodące do celu środki. Pod wpływem mianowicie ciągle tych samych zainteresowanych sfer amerykańskich powstaje w łonie Międzynarodowej Izby Handlowej komitet rzeczoznawców, który ma na celu badanie problemu srebra oraz formułowanie sposobów jego rozwiązania. Komitet ten ma złożyć swe sprawozdanie radzie Izby, zbierającej się w marcu r. b. w Paryżu. Jak informuje już o tem Silas H. Strawn, prezes Izby Handlowej Stanów Zjednoczonych i zarazem przewodniczący komitetu amerykańskiego Międzynarodowej Izby Handlowej, sprawozdanie to będzie zawierało m. in. następujące tezy.

1. Amerykańscy producenci srebra zawierają z rządem Indji separatystyczny układ, mający na celu ustalenie warunków sprzedaży srebra. Ze względu na trudności, jakie stawia Amerykanom prawo Shermana (ustawa antytrustowa), układ ten dotyczy tylko sprzedaży srebra na eksport. Nie przewiduje się stawiania przeszkód dla innych producentów srebra, którzy wyraziliby chęć przyłączenia się do takiego układu.

2. Jeżeli jest prawdą, że należy oczekiwać niedostatku złota, byłoby rzeczą możliwą złagodzenie w pewnej mierze tego niedostatku przez użycie srebra. Jeśli jakikolwiek rząd nie ma możności zaopatrzyć się w dostateczną ilość złota, to mógłby poczynić zapasy srebra, które będą służyły podkładem emisji biletów o małych odcinkach; bilety te jednak powinny mieć pełne pokrycie w srebrze, odpowiadające wartości monety złotej, którą zastępują. Bilety takie miałyby wartość obiegową na równi z banknotami, częściowo tylko pokrytymi w złocie.

3. Komitet rozważał także możliwości wykorzystania usług i autorytetu Międzynarodowej Izby w kierunku wywarcia przez nią swych wpływów na poszczególne rządy, aby powrócono do wybijania monet srebrnych o próbie

przedwojennej, o ile nie staną temu na przeszkodzie istniejące prawa.

W tych kilku punktach został zawarty niemal cały program niedoszłej konferencji srebrnej, która miała się zająć zlikwidowaniem groźnej sytuacji światowej, spowodowanej spadkiem ceny srebra. Punkty te są tak jasne i wymowne, iż nie wymagają specjalnych komentarzy. Zasługuje jednak na podkreślenie punkt 1, w którym demonstracyjnie omija się rząd Wielkiej Brytanji w nawiązywaniu przez Amerykanów bezpośrednich stosunków z rządem Indji. Londyn bowiem zarówno na kongresie waszyngtońskim Międzynarodowej Izby Handlowej, jak i w dalszym rozwoju sprawy srebra, odniósł się z wielką rezerwą do poczynań amerykańskich. Są pewne dane, że właśnie rząd Wielkiej Brytanji wpłynął głównie na decyzję prezydenta Hoovera o niezwoływaniu konferencji srebrnej. Dziś stoi on wobec możliwości samodzielnego wystąpienia Indji, celem osiągnięcia porozumienia w sprawie srebra.

W punkcie 2 widzimy próbę przeniesienia systemu pieniężnego Stanów Zjednoczonych na inne kraje. W rozdziale 7-ym omówiliśmy pokrótce rolę srebra w tym systemie. Można się z nim zgadzać lub nie, można upatrywać w nim wielkie niebezpieczeństwo na wypadek powikłań walutowych z braku złota. Fakt jednak pozostaje niezbity, że dotychczas Stany Zjednoczone, przy tak znacznem nawet posrebrzeniu swej waluty złotej, chronią ją bardzo skutecznie przed destrukcyjnym wpływem innych osłabionych walut. Nie ulega wątpliwości, że działają tu zgoła inne przyczyny, niż sama tylko obecność srebra w strukturze monetarnej Ameryki. Wchodzą tu w grę te często mało uświadomione, nieuchwytne jakieś imponderabilja socjalne, które decydują o tem tak szeroko omawianem dziś zjawisku koncentracji złota w Ameryce i we Francji. Wszakże nietylko ów przeciętny the man of the street, ale i poważni ekonomiści arcypoważnie potępiają wymienione państwa za to bezwzględne przyciąganie ku sobie, za dre-

nowanie złota z całego świata. Upatrują w tem zjawisku jakąś świadomą, planową akcję tych państw, zdążającą do ogołocenia wszystkich innych narodów z metalu złotego. Niema nic błędniejszego nad takie wyrokowanie. Złoto jest tylko funkcją procesów gospodarczych, finansowych i politycznych w organiżmie każdego narodu. Jest ono istotnie nazbyt szlachetnym metalem, aby się czuć dobrze w warunkach, niesprzyjających jego egzystencji. Nie czeka ono na tę chwilę, aż go pociągną warunki lepsze, lecz samo ucieka z miejsc, dla siebie niebezpiecznych. Uciekając, szuka ono schronienia w takiem środowisku, gdzie będzie miało zapewnione korzystne warunki swego działania i wywierania twórczego wpływu na układ gospodarczo-polityczny.

Jeszcze przed wojną decydującymi czynnikami w migracji złota były bodźce czysto ekonomiczne, jak polityka dyskontowa banków emisyjnych, poziom cen towarowych, bilanse handlowe, operacje kredytowe. Dziś bodźce te zostały stępione przez czynniki psychiczne, wypływające z układów i zjawisk politycznych i socjalnych. One to zmuszają złoto do zniekształcania jego funkcji, do wycofywania go z prywatnego obiegu wolnego, do gromadzenia w skarbcach banków centralnych, do zamrażania i sterylizacji, do wytwarzania z klasycznej waluty złotej — waluty świadomie zarządzanej, planowo regulowanej, sztucznie manipulowanej. Wszystko to składa się na tę rzekomą maldystrybucję złota, na szkodliwy jego rozdział pomiędzy poszczególne gospodarstwa narodowe. Przeważa wszakże opinja, na raporcie komitetu złota Ligi Narodów oparta, że nie brak złota w gospodarce światowej jest powodem dzisiejszej depresji, lecz zła jego repartycja pomiędzy oddzielne części tej gospodarki. Otóż takie sformułowanie tego ostrego i niezmiernie ważnego zagadnienia jest, w naszem mniemaniu, zupełnie chybione z punktu widzenia praktycznej i dydaktycznej orjentacji. Jest ono podobne do stwierdzenia np. zjawiska meteorologicznego, że atmosfera globu

ziemskiego zawiera dostateczną ilość wilgoci, ale że dystrybucja opadów jest wadliwa, ponieważ w tej czy innej części globu, oraz w tym czy innym czasie jest ich zamało lub zadużo. A przecież zgodzić się z tem trzeba, że pomiędzy meteorologją a ekonomją polityczną istnieje zadziwiające podobieństwo w niezbadanych jeszcze tajemnicach sił, prądów, kierunków, skupień, katastrof i rewolucji. Podobieństwo to narzuca się naszej świadomości, pomimo nawet tak rażącej sprzeczności, że tam działa wyłącznie martwa przyroda, a tu — przyroda, związana z żywymi ludźmi. Dlatego też statystyka i barometry są wspólnymi instrumentami do badania tych dwu gałęzi wiedzy.

Czy wobec tego słusznem jest twierdzenie, że rezerwy złota na świecie są dostateczne dla jego gospodarki w warunkach szalonej ekspansji kulturalnej w okresie powojennym? Jest prawdą w oczy bijącą, że w tych warunkach daje się odczuwać ogromny jego brak, któremu starano się zapobiegać różnemi operacjami kredytowemi, głównie zaś wprowadzeniem systemu waluty dewizowo-złotej. System ten, przymusowo ograniczając złoto do pełnienia jednej tylko funkcji — do wyrównywania sald w obrotach zagranicznych — pozbawił go drugiej, niemniej ważnej funkcji, jako pieniądza w obrotach wewnętrznych. Mało, zdaje się, jest zbadana — jeśli się tak wyrazić można — psychologja monety złotej, jest to bowiem temat zbyt metafizyczny dla zbyt naukowo nastawionych ekonomistów. Nie da się jednak zaprzeczyć, że pieniądz złoty w rękach przeciętnego człowieka, zwłaszcza w krajach mniej uprzemysłowionych, inaczej ustosunkowuje się do konsumcji, niż pieniądz papierowy. Złoto odegrałoby w całej pełni swą rolę, jako pieniądz, a więc jako miernik płacy, pracy i wszelkiej materjalnej wartości, jako regulator budżetów rodzinnych, komunalnych i państwowych, jako podstawa kredytu wreszcie, gdyby mu pozwolono wpłynąć z powrotem w kanały obiegu pieniężnego. W tej roli byłoby ono zawsze najczulszym sprawdzianem celowości i ży-

wotności gospodarczo-politycznego ustroju danego państwa. Ucieczka złota z takiego kraju lub tylko z jego banku centralnego byłaby sygnałem i zarazem przymusem do podjęcia odpowiedniej rewizji i reformy tego ustroju.

Jest oczywiście niepodobieństwem domagać się nagłego wprowadzenia w państwach europejskich klasycznej waluty złotej. Sprowadziłaby ona niezawodnie olbrzymie zaburzenia finansowo-gospodarcze, które niepodobna byłoby opanować środkami prawnymi. Tem niemniej jednak polityka finansowa i skarbowa państw europejskich, w tej liczbie i Polski, powinna sobie wytknąć za cel, obliczony na szereg lat, dojście do systemu waluty złotej z wolnym obiegiem monet złotych. Dopiero przy urzeczywistnianiu tego celu okazałby się niewątpliwy brak złota monetarnego w większości krajów europejskich i zamorskich. Źródła fachowe podają, że, jakkolwiek światowy zapas złota z 5 miljardów dol. w 1914 r. powiększył się do 11 i pół miljarda w 1931 r., to jednak przed wojną zaledwie 65% tych zapasów spoczywało w bankach centralnych, jako rezerwa kruszcowa, gdy dziś odsetek ten wzrósł do 90%. Gdy ponadto zważymy, że zgórą 7 miljardów dolarów, a zatem około 2/3 ilości złota monetarnego, skoncentrowało się w dwóch tylko państwach — w Stanach Zjednoczonych i we Francji — stanie się jasnem, że w pozostałych państwach świata daje się bardzo dotkliwie odczuwać brak złota, już nietylko w charakterze monety obiegowej, ale i w charakterze rezerwy kruszcowej, na której spoczywa waluta i kredyt tych państw.

W tych warunkach inicjatywa Międzynarodowej Izby Handlowej wydaje się być zbawienną dla wszystkich krajów, pozbawionych dostatecznej ilości złota. Spotęgowany z tego powodu popyt na złoto, wytężona za nim pogoń, prowadzi do kompletnej ruiny wszystkie warsztaty pracy ludzkiej. O ile więc drugi metal monetarny — srebro — nie zatracił jesz-

cze swej historycznej tradycji, o ile wskutek błędnej polityki walutowej i fiskalnej wytworzył się jego nadmiar, należałoby go użyć do podparcia rezerw kruszcowych czy to banków emisyjnych, czy skarbów państw, na wzór systemu monetarnego Stanów Zjednoczonych.

Droga ta niewątpliwie kryje w sobie wiele niebezpieczeństw. Przedewszystkiem, nie uchroni ona od ucieczki złota z krajów, które tem złotem administrować nie potrafią, które, prowadząc antykapitalistyczną politykę, widzą w złocie ucieleśnienie wrogiego masom demokratycznym kapitału. O ile więc kraje, wyzbywające się w drodze naturalnych procesów ekonomicznych złota, nie przystosują swej polityki wewnętrznej do zasad zdrowej gospodarki, nie pomoże im, rzecz prosta, w żadnych ilościach srebro, nabywane chociażby po najtańszej cenie. Wymaganą byłaby przeto wielka ostrożność i oględność przy wprowadzaniu srebra do struktury monetarnej państw europejskich.

Rozpoczęliśmy nasze rozważania od stwierdzenia pewnego stanu walki, istniejącej pomiędzy złotem a srebrem, pomiędzy krajami złotymi a srebrnymi. Stan taki prowadzi obie strony walczące do pełnego wycieńczenia. Wyjściem z tej beznadziejnej sytuacji musi być radykalna zmiana w ustosunkowaniu się wzajemnem obu metali. Zamiast walki, musi nastąpić współpraca, zamiast konkurencji — kooperacja. Sprawa srebra jest w równym stopniu sprawą złota i bez powiązania ich w jedną syntetyczną całość, nie do pomyślenia jest wybrnięcie z obecnej, głębokiej depresji gospodarczej *).

Aleksander Laczysław.

---

*) Nie znamy jeszcze, niestety, najświeższej pracy dr. Feliksa Młynarskiego p. t. „The Functioning of Gold Standard", wydanej w języku angielskim przez Ligę Narodów. Według krótkiej recenzji, autor stoi także na stanowisku włączenia do pokrycia emisyjnego pewnych ilości srebra, nie uciekając się ani do bimetalizmu, ani tembardziej do porzucenia systemu waluty złotej.

KRÓLOWA JADWIGA.

Świat dzisiejszy, pogrążony w chaosie politycznym i gospodarczym, w grubym materjaliźmie i w mętach zmagań międzynarodowych, potrzebuje bezspornie jakiejś wielkiej idei. Współczesna kultura, zagmatwana w węzeł gordyjski przeróżnych, reklamowych, a rujnujących haseł, doktryn i modernizmów, wyjałowiona, zatracająca coraz bardziej swe człowiecze oblicze, potrzebuje koniecznie odrodzenia duchowego. I Polsce tego potrzeba.

Czas na to już chyba ostatni. Wszystko, co jeszcze pozostało Boskiego i duchowego w naszem człowieczeństwie, tak sponiewieranem w błocie obecnego „kulturalnego bezrobocia" i polityczno-gospodarczego geszefciarstwa, tęsknić poczyna coraz wybitniej do jakiejś czystszej atmosfery, przedewszystkiem moralnej, upatrując w niej słusznie najważniejszy warunek naprawy stosunków. Świat, wykolejony z torów normalnego, produktywnego rozwoju, wykolejony z podstaw logiki, szuka — ponad frazesami polityki, dyplomacji i doktrynerstwa — jakiegoś trwałego oparcia. Niepodobna wciąż eksperymentować i balansować nad przepaścią, niepodobna wciąż dojutrkować bezmyślnie, zasypiać codzień z trwogą i goryczą, a budzić się z przekleństwem bezprogramowości i hazardownego oportunizmu.

Trzeba nam wszystkim jakiegoś ideału, myśli przewodniej, programu politycznego, świadomości kulturalnej i natchnienia religijnego, bez czego mowy być nie może o wybrnięciu z fatalnej konjunktury. Trzeba nadto oprzeć się na doświadczeniu przeszłości, zaczerpnąć stamtąd nauki podniosłych wzorów, trzeba historycznego punktu wyjścia dla dzieła odrodzenia. Bo odrodzenia nikt na pocze-

kaniu nie wymyśli. Wszelkie odrodzenie jest wtedy tylko skuteczne i trwałe, jeżeli „jednem skrzydłem o przeszłość, drugiem o przyszłość uderzy".

Polska cierpi obecnie na różne dotkliwe bolączki, spotęgowane kryzysem międzynarodowym, których nie da się usunąć bez dokładnej znajomości jej warunków bytu, ufundowanych jej historycznym rozwojem. Przeszłość dziejowa — to nietylko bezcenna skarbnica doświadczeń politycznych i kulturalnych, ale i podstawa każdego realnego programu aktualnego; to zasadniczy składnik tej ideowej atmosfery, którą wdychamy i której oczyszczenia świadomie lub podświadomie pragniemy. Z historji więc trzeba szukać podniety moralnej do dzieła uzdrowienia współczesnych stosunków. Postępując z całym trzeźwym krytycyzmem, wolnym od bałwochwalstwa, trzeba jednak uznać i zrozumieć to, co w dziejach naszych nieśmiertelną wartość stanowi.

Mocarstwowość polska datuje się dopiero od początków epoki Jagiellońskiej, dla której konstruktywne dzieło ostatniego z Piastów stworzyło fundamentalne warunki materjalne. Przenieśmy się myślą w tę epokę, którą zgodna opinja historji uznaje za najwspanialszy, najbardziej twórczy okres naszych dziejów. I tu błyszczy na wstępie przepiękna postać królowej Jadwigi, której ogromna zasługa i ofiara i zmysł polityczny prawdziwie wielkiej monarchini — tak mało jeszcze docenione! — otwarły Polsce drogi mocarstwowej roli i rozwoju.

Ma Francja swą Joannę d'Arc, której czcią i sławą rozbrzmiał po wielkiej wojnie świat cały. Jej postać, jej ofiara i rola polityczna stały się dziś symbolem nietylko kulturalnej, ale i materjalnej potęgi Francji. Wszystkie niemal większe miasta francuskie uczciły ją posągami, rok rocznie odbywają się tam na jej cześć uroczyste obchody, nie pozbawione nawet oficjalnego charakteru. Bo Joanna jest dla Francji historycznym symbolem zjednoczenia pań-

stwowego, z którego poczęła się rola mocarstwowa tego kraju.

A my, Polacy, posiadamy w długim szeregu naszych monarchów postać niemniej wzniosłą, a która w swej epoce stworzyła nam odrazu daleko szersze podstawy i warunki mocarstwowej potęgi, niż mogła to uczynić dla Francji Dziewica Orleańska. Tylko, że z wielkiego dzieła i z wielkiej ofiary Jadwigi nie umieliśmy tak skorzystać, jak nasi francuscy sprzymierzeńcy. Nie umieliśmy dotąd ocenić w całej pełni tego wielkiego historycznego wzoru i ideału, jakim promieniuje postać pierwszej kobiety-króla na polskim tronie. Bo jeżeli gdzie, to właśnie u nas, nikt nie jest prorokiem we własnym kraju!

Czas już, aby otrząsnąć się z tego małodusznego, zarozumialczego aktualizmu, aby dojrzeć i uznać wielkość tam, gdzie ona istotnie jest, lub była.

Dla dzisiejszego, uważnego czytelnika życie Jadwigi — to porywająca historja nietylko zmagań politycznych w największym stylu, ale i głębokich przeżyć duchowych. Królowa Jadwiga, przez którą dokonało się osiągnięcie „naturalnych granic geograficznych imperjum polskiego", łączy w sobie rolę Joanny d'Arc, Dąbrówki i zarazem uszlachetniony prototyp angielskiej Elżbiety. Jej ofiarna i męska decyzja poślubienia Jagiełły, jej wyprawa na Ruś Czerwoną, w której, według świadectw historycznych, zajęła stanowisko prawdziwego wodza, jej ingerencja ugodowa w różnych wewnętrznych antagonizmach w olbrzymiem państwie i stanowcze a prorocze stanowisko wobec Krzyżaków, spełniły lub przygotowały realizację planów Łokietka i Kazimierza Wielkiego, których im samym nie było danem wykonać. A dalej, całe jej — śmiało rzec można — współrządy z Jagiełłą, jej ofiarność na podniesienie oświaty, jej humanitaryzm i duch miłosierdzia, dzięki którym za jej życia zażywała Polska w całej pełni dobrodziejstw pokoju, jak ongiś, za życia wielkiego dziada

Jadwigi — to także kapitalne przyczynki do dzieła rozbudowy Polski mocarstwowej.

A osobiście? Pod tym względem postać wielkiej monarchini występuje już wprost w aureoli świętobliwości. Otwarte serce dla wszelkiej niedoli warstw niższych, owo słynne: „Któż wynagrodzi łzy skrzywdzonym?" — szczera religijność, pełna troski o zgodność życia i obowiązków monarszych z obowiązkami moralności i wiary, pobożność, sięgająca niemal wyżyn ascetyzmu, wynagrodzona osobliwszym darem proroczym — czyż to wszystko, na tle zwłaszcza ówczesnych pojęć i stosunków, nie powinno podnieść w oczach naszych tej wielkiej królowej pokoju na piedestał świętobliwości?!

Jagiełło, mimo trzykrotnych swych małżeństw po stracie Jadwigi, nosił jednak do końca swego życia jej obrączkę, jako znak nietylko nieustannej żałoby, ale i nieustającego wpływu, jaki wywarł na niego urok pierwszej żony. Ileż zbawiennych sugestji podsunęła młodociana monarchini dzikiemu Skirgielle, bratu i doradcy męża, sugestji, sięgających daleko za jej grób swym wpływem! Oddaniem zaś swych kosztowności na podniesienie Akademji krakowskiej i wyrobieniem niezbędnego papieskiego zezwolenia na uzupełnienie jej wydziałem teologicznym (co nie powiodło się Kazimierzowi Wielkiemu), złożyła nietylko dowód wysokiej kultury, ale i świadomości, co wzrastającemu w potęgę państwu na polu oświaty najbardziej było potrzebnem.

A wszystko to pełniła, nie szukając własnej chwały, pojmując swe życie, obowiązki i czyny, jako nieustanną służbę Bożą. Życie jej, tak młodo i tragicznie zakończone w chwili spełnienia się z takiem utęsknieniem oczekiwanego macierzyństwa — jakaż to bogata kanwa dla rozważań historyka-psychologa, jakże rozległą wykazuje skalę duchowych zmagań i przeżyć, jakie bogactwo motywów, piękno pobudek i siłę w zwalczaniu ułomności natury ludzkiej! Jakież pióro byłoby w stanie wyczerpać całą we-

wnętrzną tragedję jej wczesnego narzeczeństwa, małżeństwa i przyobleczenia królewskiej purpury, której majestat ciężkiem nieraz brzemieniem spadał na ramiona tej najpiękniejszej w ówczesnej Europie królowej!

Postać Jadwigi może i powinna przemówić porywająco nietylko do naszych uczuć narodowych w wyzwolonej z niewoli ojczyźnie, ale zarazem i do naszego zmysłu dramatycznego, do naszej wyobraźni estetycznej, przez wielki urok znakomitego żywota, jawiącego się nam w perspektywie dziejowej w skończenie artystycznej formie. Winna też żywo przemówić do naszych pragnień duchowych przez doskonałą, niezłomną logikę postępowania, a do naszych codziennych trosk i potrzeb społecznych — głębią swych trosk i pracy publicznej. Postać i dzieło Jadwigi może nam dać w dzisiejszych, tak zmaterjalizowanych, antyhistorycznych warunkach bytu, potężną podnietę do prawdziwie historycznego myślenia, szukania doświadczenia i oparcia w wielkiej przeszłości i uczenia się niezbędnej dla żywotnego narodu umiejętności rozwiązywania doniosłych problemów dziejowych przez zaparcie się swych własnych, egoistycznych, drobnostkowych porywów, ambicji i tuzinkowych, przemijających korzyści.

Ojciec Jadwigi, król Ludwik andegaweński, był w ówczesnej Europie jednym z najpotężniejszych i najświatlejszych monarchów. W swej intytulacji liczył tyle poddanych sobie królestw, ile wszyscy pozostali władcy europejscy razem. Posiadał też ogromne bogactwa. Z samych kopalń węgierskich, gdzie dobywano złoto, srebro, sól, miedź i żelazo, miał tak wielkie dochody, że bez uszczerbku mógł rozdawać włości królewskie w Polsce. Nawet dumni cesarze bizantyńscy nie wahali się uchylać czoła przed potęgą władzy i bogactw Ludwika i błagać go o pomoc przeciw Turkom. Rzecz inna, że musiało to wszystko wzbić w pychę tego monarchę i rozniecić w nim chciwość. Ta też pchnęła go nieraz do nierycerskiego czynu,

gdy np. zamiast zapowiedzianej wyprawy krzyżowej, na którą papież Innocenty VI obdarzył go tytułem „chorążego Kościoła“, uderza z zebranem wojskiem krzyżowem na Istrję i Dalmację, by włączyć je do swej korony.

Z tej rachuby na rozszerzenie swej potęgi i blasku płyną też układy małżeńskie między dworem budzyńskim a rakuskim i luxemburskim. To też Jadwiga w dziecięcym już wieku zaślubiona została, ówczesnym zwyczajem, Wilhelmowi rakuskiemu, starszej Marji przeznaczył król związek z Zygmuntem luxemburskim, najstarszej zaś córce, Katarzynie, tron polski.

Losy inaczej zrządziły — na nasze szczęście i chwałę.

Młodociana, siedmioletnia Jadwiga, poślubiona — a raczej wyswatana — swemu rówieśnikowi, księciu rakuskiemu, nie mogła przeczuwać, do jakich ją zadań powołała Opatrzność. Plany ojca w niczem nie wiązały jej z Polską. Ale śmierć Katarzyny odwraca nagle losy. Król Ludwik nowym układem narzuca Polsce córkę Marję.

Mówimy: narzuca — gdyż Polacy wielką zawsze pałali niechęcią do rządów niewieścich, zwłaszcza Wielkopolanie, pamiętni legendarnej żony Popiela i późniejszej Ryksy, która wielkie skarby do Niemiec ze sobą uwiozła. To też trzeba było niemałej zręczności dyplomatycznej króla, a także i pewnych okoliczności przymusowych, aby stanął układ w Koszycach, mocą którego — jak stwierdzał król Ludwik — „córki nasze Polacy za pany i dziedzice królestwa polskiego przyjęli“.

Marja więc miała objąć mocą woli ojcowskiej tron polski, Jadwiga zaś, wolna od myśli o swe przyszłe losy, dziedziczka węgierskiej korony, bawi w Wiedniu z zaślubionym jej księciem Wilhelmem. Królewskie dzieci, wolne od trosk przyszłej władzy, przysłuchują się pieśniom trubadurów, którzy wracali z rycerskiej wędrówki po kraju „Saracenów“, jak wonczas zwano Litwę, z wyprawy, podjętej pod kierunkiem ks. Albrechta rakuskiego. Nieraz z pew-

nością zadrżały dziecinne serca książątek, słuchających tych groźnych opowieści.

Oto poeta Suchenwirt kreśli pełen grozy i dzikiego a romantycznego uroku obraz wyprawy krzyżackiej na Litwę. Chrześcijańscy najeźdźcy, ze znakiem krzyża na piersiach, wtargnęli do jakiegoś sioła, w którem właśnie odprawiano gody weselne. Pod ciosami mieczów pada kilkadziesiąt osób z orszaku ślubnego, w tem zapewne i oblubieńcy. Łuna pożaru dokonuje dzieła przemocy i kończy tragicznie przerwane wesele.

Czyż w owej chwili mogli przeczuć młodociani słuchacze, że kiedyś srogi książę Litwy powetuje te krwawo przerwane gody małżeńskie w zapadłem litewskiem siole rozerwaniem o wiele świetniejszych zaślubin, wiążących dwa znakomite europejskie dwory! Że Litwa weźmie odwet na nawracającej ją ogniem i mieczem Europie, niszcząc serdeczny związek niemieckiego księcia z dziecięciem rodu andegaweńskiego...!

Minęły lata. I oto, po śmierci króla Ludwika, mądra, przewidująca, prawdziwie mocarstwowa polityka możnowładców ziemi krakowskiej decyduje powołanie Jadwigi na tron polski. Straszna rozterka budzi się w duszy 14-letniego dziewczęcia. Panowie polscy narzucają jej małżeństwo z „dzikim", pogańskim Jagiełłą, władcą tego właśnie kraju „Saracenów", o którym nasłuchała się ze zgrozą z pieśni trubadurów. Trzeba zerwać serdeczny związek, prawda, że według praw kościelnych ostatecznie jeszcze nie spojony, do którego jednak przywiązała się z całem uczuciem młodocianego serca. Ale w tej gwałtownej rozterce przychodzi jej w pomoc egzaltowana pobożność ówczesnych czasów, zdolna łamać czy opanować niejedną namiętność, skłaniać do wielkiej nawet ofiary. Jadwiga, prawdziwa córa swego wieku, skłonna była kochać przedewszystkiem to, co było miłem Bogu, więc miłość i małżeństwo pojmowała jako powinność moralną. Takie pojęcia na tle religijnych uniesień i poczucia wielkich obowiąz-

ków moralnych pozwalają nam zrozumieć ówczesną walkę wewnętrzną i czyny Jadwigi. Oto najpierw, zamknięta na Wawelu, z toporem w ręku usiłuje torować sobie drogę do oblubieńca Wilhelma, który przybył do Krakowa i ze swej strony usiłuje dotrzeć do królowej. Ale panowie krakowscy, czujni w swem postanowieniu, pilnują bacznie. Zachodzą drogę Jadwidze, zmuszają Wilhelma do wyjazdu, udaremniają spotkanie. Małżeństwo nie dochodzi do skutku. Biskupi polscy orzekają na tej podstawie nieważność ślubu. Wówczas Jadwiga, przejęta ideą poświęcenia, przystaje na małżeństwo z Jagiełłą. W sercu młodej królowej budzi się poczucie wielkiej misji, zasługi dla chrześcijaństwa przez zaślubienie pogańskiego księcia Litwy.

I oto dziełem szlachetnej dziewicy stało się to, czego „nie mogli dokonać mnodzy króle i cesarze“ — jak to wyrazili posłowie litewscy. Ale stało się i więcej. Bo zgoda Jadwigi na związek z Jagiełłą stanowiła decydujący krok do późniejszego obalenia potęgi krzyżackiego zakonu, który bez tego opanowałby może z biegiem czasu tę część Europy. Nadto związek z Litwą i wogóle rozszerzenie władztwa królów polskich na olbrzymie obszary, dokonane ofiarą i zmysłem politycznym Jadwigi, przyczyniły się w organicznem następstwie także do scalenia ziem Polski właściwej w jednolitą całość, czego nie były jeszcze w stanie dokonać w całej pełni rządy Łokietka i Kazimierza.

A stąd — w dalszej konsekwencji tego scalenia i ogólnego podniesienia kultury — wyniknął zwrot przełomowy w wielowiekowej walce świata słowiańskiego z germańskim. Dotąd bowiem wyższa kultura i wyższy poziom militarny zachodniej Europy, napierającej zaborczo na wschód pod niemieckiem przywództwem, powodowały, mimo poszczególnych zwycięstw oręża polskiego, coraz dalsze wżeranie się teutonizmu w polskie ziemie. Zasługą jest Jadwigi, wielką, prawdziwie historyczną, że nietylko ten niepohamowany Drang nach Osten został na polach Grunwaldu stanowczo zatrzymany, ale że Polska mogła

następnie wystąpić zaczepnie i zdobyć bałtyckie wybrzeże, wypędzając Niemców z głównego ośrodka ich ówczesnego militaryzmu — Malborga.

Było to zasługą i dla ówczesnej cywilizowanej Europy, na której brutalna dłoń i polityka krzyżacka niemniej dotkliwie zaciążyły. Współczesny pisarz francuski takie wystawia świadectwo Niemcom, reprezentowanym wówczas najhałaśliwiej przez Krzyżaków:

„Niemcy są strasznie chciwi... Niemcy są tak chciwi, jak żaden naród na świecie i nad nikim nie mają miłosierdzia, skoro władzę nad nim posiędą. Niemcy nie dotrzymują nikomu słowa i niczego nie dochowują, co kiedykolwiek przyrzekli... Ludzie, Niemcom podobni, gorsi są od Saracenów“ (miano Litwy).

„Germania tota nunc unum latrocinium“ — pisze inny kronikarz, tym razem nawet niemiecki. Dla Włochów są Niemcy „gadem i padalcem“, dla Węgrów „szarańczą“. Wśród Czechów urobiło się wyrażenie: „dobry, chociaż Niemiec“.

Świadectwa te nie mogą dziwić. Niemcy bowiem zapisali się w poprzednich wiekach wszędzie u swych sąsiadów krwią i łzami, zdradą i mordem. Wtargnęli wszędzie — i do słonecznej Italji i do mglistej Danji, ale przedewszystkiem pustoszyli, pod obłudnym pozorem krzewienia wiary, przyległe kraje słowiańskie. Przebiegły i krwiożerczy teutonizm marzył o zdobyciu całej wschodniej Europy, podobnie zresztą, jak wpajają to dziś w umysły młodego niemieckiego pokolenia rozwydrzeni nacjonaliści z pod znaku Hitlera. Zaborcza ręka Niemiec, wspomagana kupiecką przebiegłością Hanzy, sięgnęła aż do Nowogrodu i Pskowa. Ich zręczność dyplomatyczna zwróciła się również ku kojarzeniu małżeństw politycznych, które pozwalałyby wtargnąć teutonizmowi do ziem, dotąd niezdobytych. Gdyby los nie był odwrócił układu małżeńskiego z dworem luxemburskim, byłaby Polska wydana na pastwę teutonizmu. Wszak pierwszym czynem Zygmunta Luxem-

burczyka, gdy po śmierci Ludwika przybył do Polski, było spotkanie się z wielkim mistrzem krzyżackim, w celu „uzgodnienia postępowania“!

Śmiało więc stwierdzić możemy, że bez ofiary i decyzji Jadwigi inaczej wyglądałaby dziś mapa Europy.

Wykonawcą tego wielkiego dzieła odparcia teutonizmu stał się coprawda dopiero Jagiełło po śmierci Jadwigi, gdyż świętobliwa królowa, aczkolwiek rozumiała dobrze niebezpieczeństwo i perfidję Krzyżaków, nie chiała za swego życia dopuścić do wojny z rycerzami Marji i Krzyża. Jagiełło, prawdziwe dziecię szczęścia, „z ręką Jadwigi, koroną i chrześcijaństwem osięgnął, jedynym w dziejach przykładem, trzy sakramenty odrazu: chrzest, małżeństwo i pomazanie królewskie — trzy wielkie dary, jakie żadnemu jeszcze ze śmiertelników nie przypadły razem“, mówi zdziwiony jego szczęściem kronikarz polski.

Osiągnąwszy to, musiał Jagiełło zabrać się zaraz do uspokojenia Polski, zwichrzonej walkami domowemi, a potem wyprawić się na Litwę dla wykonania danego przyrzeczenia ochrzczenia swej ojczyzny. Jadwiga zaś pospieszyła tymczasem na Ruś Czerwoną, aby zaprowadzić tam ład i ustalić rządy.

Wyprawa ta na Ruś Czerwoną, podyktowana bezpośrednio warunkami politycznymi, okazała się w skutkach swych prawdziwem sięgnięciem po złote jabłko korony polskiej. „Ani bowiem — jak pisze Szajnocha — wodnista Wielkopolska, ani leśny kraj Mazowsza i Małopolski, ani zimna, mroczna, uboga Litwa, nie miały podobieństwa do Rusi. Tu, od źródeł Dniestru i Bohu, rozpościerały się nieprzejrzane okiem obszary urodzaju, płynęła ziemia (po dawnej przypowieści) mlekiem i miodem. . .“.

Niestety, na horyzoncie tej wówczas wspaniałej krainy pojawiały się raz poraz groźne chmury, mogące zamieniać ją w pustynię i zgliszcza: hordy tatarskie. Wypady hordy ciągnęły na Ruś Czerwoną zwykle trzema szlakami — wołyńskim, podolskim i halickim. A zbiegały się

wszystkie te szlaki pod Lwowem, który wabił żądne łupu hordy swem bogactwem grodu kupieckiego, wiążącego w sobie drogi handlowe z Bałtyku do morza Czarnego.

W momencie wyprawy Jadwigi stan Rusi Czerwonej był wielce opłakany. Przedewszystkiem podzielona była ona między różne berła. Część zachodnia, ze Lwowem, Przemyślem i częścią ziemi halickiej, była w ręku węgierskiem. Wschodnią częścią dzielili się książęta litewscy i wołoscy. Bełz, Lubaczów i Busk trzymał w ręku książę litewski, Jerzy Narymuntowicz. O Pokucie, Śniatyń i Kołomyję dobijali się hospodarowie wołoscy. Liczne dobra posiadał wreszcie na Rusi Czerwonej b. książę ruski, Władysław Opolczyk.

Takim był stan faktyczny na Rusi Czerwonej w chwili wyprawy Jadwigi. Nie wolno więc historykom zapominać, że kraj ten, właśnie dlatego, że tak był podzielony, był temsamem — biorąc jako całość — poniekąd res nullius, a nadto zagrożony ustawicznie najazdem tatarskim. Pozatem, jako królewna węgierska, miała Jadwiga słuszne prawo dochodzić swego spadku, który główną, rdzenną część tego kraju obejmował. Wreszcie, jako przezorna monarchini, nie mogła dopuścić, aby kraj ten stał się polem zatargów różnych sąsiednich zdobywców i aby usadowił się w nim ostatecznie ktoś obcy, stwarzając i z tej strony niebezpieczeństwo dla Polski.

Podnosimy ten moment dlatego z takim naciskiem, aby odeprzeć zarzuty, podnoszone przez nacjonalistycznie nastawioną opinję dziejopisarstwa ruskiego, jakoby wyprawa Jadwigi stanowiła zaborczą okupację państwa halickiego. Tendencyjna to nieprawda. Faktem jest natomiast, że ówczesny historyczno-geograficzny obszar Rusi Czerwonej był wprawdzie w ogromnie przeważającej ilości zamieszkały przez ludność ruską, ale niebyło tam ani jednolitego państwa, ani żadnego władcy ruskiego, gdyż panowali nad rozdrobnionym politycznie krajem Węgrzy, Wołosi i Litwini, a raz poraz obracali go w perzynę Tatarzy,

których nie było komu na serjo odpierać. A rdzeń tego kraju, z głównemi miastami, stanowił prawne po Ludwiku dziedzictwo Jadwigi.

Ten stan rzeczy odbijał się oczywiście fatalnie na życiu i losach Rusi Czerwonej. To też w związku z Polską i w zjednoczeniu pod berłem wielkiej królowej widziała ludność tamtejsza i skuteczną opiekę i gwarancję lepszej doli. Pamiętne były tam nadto jeszcze niedawne rządy Kazimierza Wielkiego, który, rozgromiwszy Tatarów, otoczył swą opieką wszystkie dziedziny życia na Rusi Czerwonej, szczególnie handel i rolnictwo, a nadto życie religijne. Pod jego to panowaniem stanęła we Lwowie najokazalsza z czerwonoruskich świątyń, katedra św. Jura, a także kościół ormiański.

Pamięć tych rządów otwarła dla wnuczki Kazimierza tembardziej serca czerwonoruskiej ludności i bramy miast tamtejszych, które pospieszyły radośnie z wiernopoddańczym hołdem. A gdy wkrótce przybył tam i Jagiełło, odbiera para królewska już wspólnie hołd od ludności tej krainy, wchodzącej odtąd w skład rdzennych ziem królestwa.

Że objawy tej przychylności były szczere, świadczy o tem najlepiej fakt, iż gdy po ostatecznem objęciu rządów na Rusi Czerwonej przez Jagiełłę rozeszła się pogłoska o zamierzonym jego powrocie do Krakowa, stolica Lwów wysyła posłów do niego, prosząc go o niezaprzestanie dalszej swej opieki. W związku Rusi z Polską ujrzeli Rusini gwarancję swej pomyślności, gdyż — jak powiada staroruski metropolita Kiryan: „...ziemie ruskie kwitnęły wówczas (pod rządami polskimi) dostatkiem i obfitością wszech darów Bożych i kwitnęły też sławą po świecie, jak po dziś dzień“.

A w całej tej misji i wyprawie odegrała młodociana królowa prawdziwie dominującą rolę tak, że według świadectw współczesnych skupiła w swej osobie prawdziwy autorytet wodza i monarchy, do którego sądu i woli wszystko z zaufaniem się zwracało.

Ale jeszcze jedna, politycznie wielce doniosła rola przypadła w udziale Jadwidze: pojednanie Jagiełły z Witoldem, które przygotowało późniejszy tryumf grunwaldzki. Ambicja Witolda w dążeniu do władzy wielkoksiążęcej na Litwie sprzęgła go z Krzyżakami i popchnęła do zdobywania własnej ojczyzny z ich pomocą. Wystarczy wspomnieć, że w r. 1391 wtargnęło do Litwy z tej przyczyny 70.000 rycerstwa krzyżowego, podchodząc pod Troki i Wilno. Wprawdzie dzięki pomocy z polskiej strony wyprawa ta nie osiągnęła swych celów, ale Litwa wyszła z niej wyczerpana ciężką walką i wygłodzona zniszczeniem wojennem. To też, zarówno bojarowie, jak i lud prosty, doprowadzeni do rozpaczy, nosili się z zamiarem opuszczenia swych siedzib i ruszenia w wędrówkę na wschód, w spokojniejsze okolice.

Rozum i serce dyktowały Jadwidze, że trzeba kres położyć tej bratobójczej waśni i sprządz silniej Litwę z Polską dla dopełnienia wielkiego dzieła.

Jej więc staraniem dochodzi do porozumienia między styjecznymi braćmi na zjeździe w Ostrowiu, który rozpoczął dla nich obu i dla państwa polsko-litewskiego nową epokę pomyślności, stał się powtórnem i naprawdę skutecznem połączeniem Litwy z Koroną. Duszą tego doniosłego aktu, sercem i ogniskiem tej epokowej chwili była Jadwiga. Ku niej też zwraca się pierwszy pojednawczy hołd Witolda, który ślubuje „pozostać wieczyście w związku z królestwem polskiem i koroną polską i królową polską Jadwigą, nie znać nigdy żadnej innej zwierzchniczki i pani nad nią, lecz owszem przykładać się wszelkiemi siłami do jej czci i pożytku, uwielmożnienia i sławy, jako też bronić ją, zasłaniać i ostrzegać od wszelkich nieprzyjaciół i przeciwników".

Lecz gdy w życiu publicznem tak się wszystko Jadwidze szczęściło, gdy tak wielkich na tem polu dzieł stała się orędowniczką i sprawczynią, to w życiu prywatnem nie zabrakło jej wielu zgryzot, przykrości i cierni.

I tak przedewszystkiem przykładnem naogół pożyciem królewskich małżonków zachwiał na czas pewien intrygą Gniewosz z Dalewic. Poplecznik ongiś Wilhelma, zaczął wyzyskiwać swoją dawną rolę powiernika Jadwigi dla zaskarbienia sobie w niecny sposób łask Jagiełły, rzucając potwarcze wieści o dalszych jakoby stosunkach królowej z Wilhelmem. Jagiełło, aczkolwiek szczerze kochający królowę, nie mógł się oprzeć zazdrości i dał jej odczuć swój gniew i żal. Im goręcej pragnął dowodów jej przywiązania, tem boleśniej musiało go ranić podejrzenie o niewierność. Nastąpiły niesnaski między małżeństwem, grożące nawet chwilowo jego zerwaniem, co zaniepokoiło silnie panów krakowskich, lecz przedewszystkiem krwawiło serce Jadwigi. Do niedawnej boleści z powodu tragicznej śmierci matki przyłączyło się tak niespodziewane i uwłaczające posądzenie.

Cierpiało nad tem nietylko jej czułe serce, któremu za tyle ofiar i wyrzeczeń zapłacono tak czarną niewdzięcznością, ale cierpiała także duma i godność królowej. Przemówił obrażony jej majestat. To też, jak notuje kronikarz, ilekroć Jagiełło zbliżał się wtedy do niej, ona z gniewem odwracała się od niego.

Trapiony tą wzgardą królewski małżonek nie śmiał nawet uciec się do przysługującego mu prawa, znosząc cicho nieposłuszeństwo żony. Wreszcie, po wielu niesnaskach i przykrościach, wyszła na jaw intryga. Jadwiga, opierając się na procedurze, statutem wiślickim ustalonej, zapozwała Gniewosza o potwarz.

Wyznaczono obwinionemu „rok“ w Wiślicy. Gdy tam zastępca królowej, Jaśko z Tęczyna, w otoczeniu licznych świadków, gotowych do potwierdzenia jej niewinności, zwrócił się do Gniewosza, iż „nikczemnym umysłem i kłamliwemi usty zelżył przed królem jegomością łoże i niepokalaną niewinność jego małżonki“, oskarżony zamilkł zawstydzony. Skazano go na odwołanie zniewagi w słowach „skłamałem jako pies“ i, według starego obyczaju,

kazano mu ją psim sposobem odszczekać. Musiał więc Gniewosz wejść pod ławę i zaszczekać, jak zbity pies. „Którym to tak surowym wyrokiem — kończy kronikarz — stało się zadość cnocie i niewinności królowej, jakoteż zgodnemu odtąd pożyciu królewskiego stadła. Bez wszelkich już poszeptów zauszniczych, bez podejrzeń i udręczeń wzajemnych, żyli oboje królestwo od tej pory w niezmąconej niczem zgodzie małżeńskiej, fortunni miłością i jednością".

Mimo jednak tak wielkiej satysfakcji, wszystkie powyższe ofiary i przeżycia zasnuły bolesnym cieniem duszę Jadwigi. To też wczas już, licząc ledwie lat osiemnaście, zamyka się królowa w głębokiej samotności wewnętrznej, wiodąc prywatnie żywot ascetyczny, zwierzając swe troski jedynie Bogu i skarbiąc sobie łaski nieba pobożnemi praktykami i jałmużnami. Odzywa się w niej „błogosławiona krew" przzodków, św. Ludwika, króla Francji i Ludwika, biskupa tolozańskiego. W epoce tej, która wydała wielkie święte — lepiej przez społeczeństwa swe uznane — jak Katarzynę sjeneńską, św. Brygidę, św. Katarzynę szwedzką i św. Dorotę pruską, pobożność i asceza Jadwigi niemałe musiała znajdować pobudki i wzory i jaśniała też niepowszednim blaskiem.

Ale życie to ascetyczne nie przesłania nigdy w umyśle wielkiej monarchini poczucia królewskich obowiązków. Poza wielkimi czynami, o których była mowa, stara się Jadwiga całym swym wpływem o podniesienie rządności w Polsce, wzmocnienie autorytetu władzy sądowej i podniesienie kulturalne narodu przez fundację zakładów naukowych, roztacza też serdeczną a możną opiekę nad prostym ludem.

To też papież Bonifacy, znając te jej zalety i miłosierdzie, niezdolne odmówić żadnej prośbie, zwraca się do niej w liście, bardzo serdecznym, proponując, aby zechciała wskazać mu, czem mógłby poprzeć jej życzenia według własnego jej wyboru. A jeden z opatów żegańskich takie wystawia jej świadectwo: „Teraźniejsza królowa polska,

pełna dobrych uczynków, Bogu, nie światu, służy, pokorę czyni, nie wie, co pycha, mistrzów i innych uczonych a pobożnych ludzi przywoływa z dalekich do siebie stron, pracując niepoślednio nad zbawieniem własnem i drugich".

Jej cnoty i wielkie dla państwa zasługi jaśnieć dziś powinny niemniejszem, niż wonczas, blaskiem. Współczesne polskie pokolenie, któremu danem było doczekać się zmartwychwstania ojczyzny, winno z tem większem uczuciem i zrozumieniem zwrócić swą myśl ku wzniosłej, historycznej postaci największej naszej królowej i skupiając się w rozumnej trosce o ojczyznę, czerpać z wielkich wzorów panowania Jadwigi natchnienie do owocnej pracy dla kraju, która u wszystkich jest dziś na ustach, ale u niewielu objawia się w rozumnych, prawdziwie patrjotycznych czynach. Powinno zrobić i więcej — skierować swe zabiegi ku podniesieniu świętobliwej królowej na ołtarze świętych.

Woła o to i sprawiedliwość dziejowa i słuszny wzgląd na moralne podniesienie zmaterjalizowanego społeczeństwa i prawdziwa, głęboko pojęta, polska racja stanu.

Józef Czarnecki.

Przyłączając się najgoręcej do inicjatywy Szanownego Autora, podnieść tylko musimy, że nie jest ona, niestety, pierwszą w tej doniosłej sprawie. Powiadamy: niestety, gdyż poprzednie nie odniosły dotąd rezultatu. A nie odniosły go z dwóch względów, zarówno wielce smutnych, jak i wielce naród nasz kompromitujących.

Pierwszym z nich, który zawsze i wszędzie paraliżował dotkliwie, a nawet wypaczał wszelkie rozumne, doniosłe, konstruktywne zamierzenia w naszem społeczeństwie, to chroniczna niezgoda i bezrozumnie uparta, jałowa walka partyjna. Pomijając już pierwszą inicjatywę kanonizacji królowej Jadwigi, podjętą niezadługo po jej śmierci, wystarczy przypomnieć ostatnią — podjętą w momencie zmartwychwstania ojczyzny. Ponieważ inicjatywa wy-

szła tu przypadkiem — a może właśnie w logicznej konsekwencji! — od ludzi czynu, więc z odruchem tępego uporu oparł się jej odrazu cały obóz programowej opozycji i biernoty, który, notabene, gdyby wyszła była przypadkiem z jego łona, byłby z całą pewnością wywiesił tę sprawę wysoko na swym politycznym sztandarze.

W ten sposób nietylko kwestja szczególnego kultu wielkiej królowej, ale żadna wogóle doniosła idea czy sprawa narodowa ruszyć z miejsca nie może.

A drugi powód, to dziwne stanowisko różnych historycznych krytyków. Wysilają się, mimo wyraźnego brzmienia współczesnych i późniejszych dokumentów, wykazać jednak błąd w świętobliwem życiu królowej. A gdyby nawet tak było! Czyż był na świecie jakiś człowiek. wolny od błędu i grzechu? Czyż wielcy święci byli od nich wolni? Czyż Piotr apostoł nie zaparł się po trzykroć Zbawiciela? Czyż znaczny poczet świętych nie wzniósł się właśnie z szeregu wielkich grzeszników?!

Nie da się z tymi przykładami wielkiej ułomności ludzkiej, doskonalącej się pod wpływem łaski i skruchy, nawet porównać ten ewentualny, stosunkowo drobny, z serca i przywiązania płynący, a ówczesnymi stosunkami tembardziej złagodzony grzech Jadwigi, gdyby go nawet jakiś nazbyt gorliwy krytyk historyczny zdołał z pyłu aktów wygrzebać i „udowodnić“. Twierdzimy stanowczo, że to rzecz całkiem nieistotna wobec powszechnie uznanej świętobliwości, ofiarności i wielkich dzieł królowej. Nieistotna zwłaszcza wobec jej tak wcześnie już zaczętego pokutniczego życia, którem wszelki ewentualny błąd młodego temperamentu i serca z nawiązką mogła naprawić.

Absurdalny to więc powód do przeciwstawienia się kanonizacji jednej z najbardziej świetlanych i wspaniałych postaci naszych dziejów, nawet gdyby potrafił go ktoś udowodnić. Powiedzielibyśmy takiemu uczonemu wręcz: „Zaiste, marnego a nieproduktywnego podjąłeś się pan

dzieła! Gorliwość pańska godna była jakiejbądź lepszej sprawy!".

Wielką też słuszność ma autor, podnosząc, że sprawa kanonizacji Jadwigi, to nietylko kwestja sprawiedliwości dziejowej i uznania faktu świętobliwości — bez czego oczywiście wszelkie inne względy nie miałyby znaczenia — ale również wielka racja stanu polskiego narodu, szczególnie w dzisiejszych warunkach, gdzie wszystko, co wzniosłe, deptane jest brutalnie najordynarniejszymi instynktami, szumnie, a całkiem błędnie zwanymi „postępem". Jeżeli kiedy, to właśnie w obecnej epoce skrajnego, krótkowzrocznego, samobójczego utylitaryzmu zachodniej kultury z jednej, a bolszewizmu z drugiej strony, które oba nie bez wpływu pozostają na naszą psychikę narodową i na losy nasze — podniesienie na piedestał sprawiedliwie uzasadnionego ideału, przemawiającego do duszy narodu nietylko świętobliwością i ofiarą, ale i wielkiem, prawdziwie „mocarstwowem" dziełem, jest rzeczą dobrą i konieczną. Samymi dolarami, kredytami i perypetjami parlamentarnemi żyć i budować państwa niepodobna. Trzeba czegoś więcej jeszcze, coby porwało za sobą na wyższy poziom myśli i serca narodu, opancerzyło je przeciw niskim, wywrotowym zakusom i natchnęło je wielką, historyczną ideą, bez której wszelka bieżąca praca państwowa staje się dorywczą i na dłuższą metę bezpłodną.

Polska myśl mocarstwowa potrzebuje królewskiej patronki!

Redakcja.
